№ 23. Rok XXXIII.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

PISMO ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

PRENUMERATA WYNOSI:
W Warszawie
Kwartalnie. . . . . . . rs. 1.
Za odnoszenie do domu kwartalnie kop. 10.
Na prowincyi
Kwartalnie. . . . . . . rs. 1 kop. 25.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Chmielna Nr 26.

Warszawa, dnia 25 Maja (6 Czerwca) 1891 roku.

PRENUMERATA WYNOSI:
We Lwowie i Krakowie
Kwartalnie złr. 2. Na prowincyi złr. 2 cent. 30.
W Poznaniu
Kwartalnie marek 3. Na prowincyi marek 3 pf. 50.

Treść: Od redakcyi. — Rogata dusza, powieść Juliana Łętowskiego (dalszy ciąg). — Piękno i życie. — Z dziedziny nauki i wynalazków. — Zawierucha, przez Marc-Mounier'a, przekład z francuzkiego M. G. — Z tygodnia. — Z chwili bieżącej. — Ogłoszenia. **W dodatku:** Wprowadzona w wielki świat, powieść przez Hamiltona Aide, przekład K. P. (arkusz 9).

OD REDAKCYI.

Przypominamy odnowienie prenumeraty na kwartał trzeci roku bieżącego. Warunki prenumeraty pozostają te same, a mianowicie:

W Warszawie kwartalnie rs. 1.

Na prowincyi z przesyłką pocztową:

kwartalnie rs. 1 kop. 25.
półrocznie rs. 2 kop. 50.
rocznie rs. 5.

Adres: Emil Skiwski, redaktor i wydawca „Tygodnika mód i powieści" w Warszawie, ulica Chmielna Nr 26.

Upraszamy Szanownych Prenumeratorów o nadsyłanie kartki adresowej z opaski przy odnawianiu prenumeraty, jak również przy wszelkich reklamacyach.

Za zmianę adresu kop. 15.

ROGATA DUSZA.

POWIEŚĆ

Juliana Łętowskiego.

(Dalszy ciąg.)

Mówił o wrażeniach swego pobytu na wsi i dokonanej z obu kolegami wycieczki, nie wdając się w zbyteczne szczegóły, ale też i nie pomijając niczego, co mogło się przyczynić do pełności obrazu. Kilkoma słowy odmalował dom Marczewskich, jako pełen ładu i harmonii zakątek, któremu obce zdają się być wszelkie kłopoty i troski codzienne. Wogóle wieś ma to do siebie, że przynajmniej chwilowemu gościowi swemu ukazuje tylko szczęśliwe strony życia. Takie samo wrażenie odniósł bowiem i z Mańkocic, od Schwartzów, choć bawił już tam tylko dni parę.

Opowiedziawszy wreszcie o powodach wcześniejszego powrotu i pogrzebie stryja, dodał z gorzkim uśmiechem:

— Wczoraj tu już byłem, w tym gmachu, nie wiedząc wcale, że jestem tak blizko pani!

Prędko jednak otrząsnął się znów z tego wspomnienia, wypytując o szczegóły choroby dziewczęcia i rezultaty kuracyi.

— Ja się teraz do tego wezmę! — dodał żartobliwie.

Józia, wsłuchująca się chciwie w jego słowa, nie taiła radości swojej z tego, iż znowu go widzi.

Jest już jej znacznie lepiej. Dziś źle spała, ale wcale już prawie nie kaszle. Lekarz sam mówi, iż wypuści ją niebawem.

— I moje wakacye się skończą! — dodała.

A gdy na te słowa Konrad uśmiechnął się boleśnie, poczęła ze szczerem przekonaniem tłómaczyć, iż miała tu prawdziwe wakacye.

— Dawno już nie próżnowałam tak, jak tutaj.

Wypoczęła za wszystkie czasy. Dobrze też, że zachorowała teraz, podczas lata. W magazynie pusto. Roboty niema, jak zwykle pod koniec sezonu. Niechby tak była zasłabła w karnawale lub z wiosny, Boże drogi, tożby to był rwetes! Musiałaby nawet może i miejsce stracić, bo nie mogliby się tam bez niej obejść.

— Oh! tak! — zakończyła. — Ale teraz już muszę przyjść prędko do zdrowia. Muszę!

Męczyła się jednak widocznie rozmową, co też nie uszło uwagi Konrada. Pogawędziwszy więc jeszcze chwilę, odezwał się nagle do milczącego wciąż Wiktora:

— No, pójdźmy!

— I jego mi pan zabierze? — odezwała się chora, wskazując na brata, który wstał, posłuszny jak dziecko.

— Chciałbym... Bo to i jego wakacye już się skończyły. Trzeba wiele rzeczy ogadać... Ale ja go tu pani jeszcze dziś może przyślę, a jutro znów sam wpadnę na chwilę...

Józia westchnęła, jakby słowa te przyniosły niezmierną ulgę jej schorzałym piersiom.

Ach, tak! On już tu jest i wrócił ten sam. Skończyła się już teraz wszelka bieda. Tak zawsze dotąd bywało. Zjawiał się, gdy już zdawało się, że niema żadnego ratunku... Ratunku nie dla niej — bo i cóż tam ona? Ale dla niego, dla tego biednego Wiktora, nad którym tak mało miała wpływu. Ach, żyć teraz znowu, żyć, żyć!

— Idźcie!—szepnęła, ściskając gorączkowo rękę brata.

Zanim pożegnano się ostatecznie, wróciła jeszcze siostra Elżbieta, do której Konrad zwrócił się zaraz z wykrzyknikiem:

— Niech się dobrodziejka nacieszy swoją pacyentką, póki czas, bo myślimy ją ztąd za dni parę wykraść!

— Dałby to Bóg! — westchnęła zakonnica, — chociaż będę za nią tęskniła okrutnie.

I zanim kroki odchodzących umilkły, przytuliła usta swe do czoła uszczęśliwionego dziewczęcia.

VI.

Po opuszczeniu szpitala, obaj przyjaciele szli długi czas w milczeniu, każdy własnemi myślami zajęty.

Wiktor zdawał się przygnębionym i upokorzonym tą wizytą u siostry, do której został zmuszony, Konrad natomiast, z właściwą sobie ruchliwością, układał w myśli plany tego, co mu teraz uczynić należało.

Ta jedna doba ostatnia ileż zmian przynosiła!

Przedewszystkiem nie mogło już być mowy o powrocie na wieś z Marczewskim i Schwartzem. Ten zgon stryja powinien i musi go w tym względzie usprawiedliwić. Ot, pół dnia już zeszło, a jeszcze nie wywiązał się z przyrzeczenia, danego pani Trzcińskiej, nie poszedł jej odwiedzić — i nie wie nawet, czy dziś znajdzie stosowną chwilę na tę wizytę, która była przecie prostym obowiązkiem.

Przytem Józia, Wiktor...

Sam los wracał go dość jeszcze wcześnie dla nich obojga. Było to także coś w rodzaju obowiązku, przed którym nie pozwalało mu się cofnąć wewnętrzne przekonanie. Nie umiałby był, co prawda, nazwać tego obowiązku jakiemś ściślejszem imieniem i nie starał się o to wcale. Wystarczało mu to, że tak zawsze dotąd bywało. Czemu teraz miałoby być inaczej — teraz, gdy ratunek tych dwojga stawał się tak koniecznym?

Tak być musi. Schwartz i Marczewski zawadzaliby mu nawet w tym razie. To jeszcze prawie dzieci, bo życie ich było dotąd gładkim, bitym gościńcem; o ścieżkach bocznych, tak nieraz ciernistych, nie mieli najmniejszego wyobrażenia. „Dlaczego się ty nie odczepisz od tego Zawadzkiego?"— to byłoby ich pierwsze pytanie, gdyby im począł tłómaczyć, że dla niego pozostać musi. Wszak i w nocy, gdy nadmienił o wspólnem mieszkaniu z Wiktorem, nie odezwał się żaden z nich na to ani słówkiem. Znając Zawadzkiego więcej ze słyszenia, za nic widocznie nie mieli tego wykolejonego kolegi — oni, co biedy dotąd nie zaznali.

A Józia?... Trudnoby się było z tem ukryć, a ileżto musiałby im tłómaczyć, że... że z tą Józią znają się od dzieci, że on, Konrad, nieraz na rękach ją nosił, że przywykł do mentorowania tej dziewczynce, że patrzył jak wzrastała i ztąd stała mu się niemal siostrą. Własnej przecie nigdy nie miał. To wszystko trzebaby im tłómaczyć, a oni możeby tego nie zrozumieli.

To też niech jadą. Te parę dni, jakie zostają jeszcze do końca wakacyj, wystarczy mu do ujęcia znów w karby życia Wiktora, zaopiekowania się chorą i uregulowania wszystkiego. Gdy wrócą, będzie już swobodnym.

Uśmiechnął się sam do tych swoich postanowień i spojrzał na Wiktora. Przyjaciel szedł obok niego chmurny, posępny, a przecież już jakiś żywszy.

— Tak, tak zrobię! — pomyślał pan Konrad.

I znowu blada twarzyczka Józi poczęła mu migotać przed oczyma. Tylko że oczki miała już nie czarne, wielkie, jak zwykle, lecz jakieś niebieskie, a i ciemne jej włosy bladły, bladły, stając się złotemi; co więcej, że oprawą tej twarzyczki nie było już łóżko szpitalne, lecz ciemny, zgrabny kapelusik, mieniący się w ostatnich promieniach zachodzącego słońca, które się z poza drzew przedzierały.

Ocknął się, jakby ze snu, i teraz dopiero zdając sobie sprawę z tej przemiany, pomyślał:

— Ach, to ta czekająca mię wizyta plącze mi się po głowie. Trzeba mi o tem pamiętać!

Po chwili stanęli u wylotu Trębackiej, zkąd już tylko parę kroków było do hotelu, ale Wiktor ani chciał słyszeć o zobaczeniu się z Marczewskim i Schwartzem.

— Nie, nie! Puść mnie! — prosił. — Ja ich tak mało znam!

— Cóż z tego! Dobre chłopcy...

— Wiem, ale... nie mogę...

Konrad przyjrzał mu się uważnie.

— Zresztą, powiem ci wszystko — mówił dalej Wiktor, spuszczając oczy pod badawczem spojrzeniem przyjaciela. — Widzisz, od tygodnia już męczą mię, abym wrócił do swoich lekcyj matematyki na pensyi u Daleckiej... Zwłóczyłem... Ale dziś ostatni termin na odpowiedź... Zawsze to coś... Wezmę!

Konrad uścisnął mu dłoń gorąco.

— Idź! — rzekł tylko.

Sam zaś zwrócił się wprost ku hotelowi.

Schwartz z Marczewskim siedzieli zasępieni, każdy w swoim pokoju, gdy wszedł pan Konrad. Poznali ociężałe nieco ze zmęczenia jego kroki i Schwartz zerwał się pierwszy, podbiegając do drzwi.

— Aj! zbrodniarzu! — zawołał, rzucając się na szyję wchodzącego.

Zbliżył się i Marczewski, zostawiwszy na stole zaczęty list do rodziców, w którym opisywał powód swego niespodzianego znalezienia się w Warszawie.

— Aleś przynajmniej punktualny. Trzy na drugą! — rzekł, spoglądając na zegarek.

Konrad, trzymając w ręku kapelusz, usiadł na pierwszem krześle, jakie mu się nawinęło. Był widocznie znużony, ale uśmiechał się, spoglądając z przyjemnością na obu młodych przyjaciół, którzy przed nim stali w jaskrawem świetle południowego słońca, wdzierającego się do skromnego pokoiku hotelowego przez jedyne okno od dziedzińca.

— No, coście robili? — spytał.

— A cóż? Kłóciliśmy się!

— O co?

— O ciebie! O to, żeś nam umknął.

— Ja już nawet nie znałem się przez pewien czas z panem Marczewskim—odezwał się Schwartz.

— A ja z panem Schwartzem.

— No, a teraz? — spytał Konrad.

Kaziek machnął ręką.

— Co było robić? Pogodziliśmy się!

I wyrywając sobie z ust pojedyncze zdania i wyrazy, poczęli opowiadać bezładnie, jeden przez drugiego, jak z rozpaczy przyszła im myśl zaproszenia Kuby na śniadanie do restauracyi hotelowej; jak posadzili go przy swym stoliku; jak Kuba, wstydząc się ciągle, zawijał przecież befsztyk, aż mu się uszy trzęsły; jak wszyscy obecni, nie wyjmując gospodarza restauracyi i garsonów, patrzyli na nich, niby na waryatów, i wreszcie, jak teraz Kuba, spojony, śpi przy koniach, w stajni, ściskając je za przednie nogi, w obawie, aby mu ich tu kto nie ukradł.

— Bo trzeba ci wiedzieć — kończył Schwartz,— że nagadaliśmy mu podczas tego śniadania o filutach miejskich niestworzone rzeczy, aż wkońcu na wszystkich dokoła patrzył, jak na rzezimieszków. Ha, ha, ha, ha!

— Ha, ha, ha! — wtórował Marczewski.

I poczęli obaj pokładać się ze śmiechu na samo wspomnienie tego figla.

Konrad zaśmiał się także. Tyle jednak było przeciwieństwa w ich opowiadaniu z tem, co on miał niedawno przed oczyma, że mimowoli śmiech zamarł na jego wargach. Poważne jakieś refleksye poczęły mu napływać do głowy.

— Czy podobna — myślał, — aby na świecie mogły obok siebie mieścić się na równych zupełnie prawach i takie figle dziecięce i taka nędza, ostateczna, beznadziejna, na jaką przed chwilą patrzeć był zmuszony?... Czy podobna?... I przyszło mu znów na myśl, że zarówno ta możność bezgranicznej niemal swobody, jak i tamta konieczność pobrzękujących kajdan są równie niezasłużonemi, jako wynik czystego przypadku... Ale dlaczego? dlaczego?

I tuż za temi pytaniami jakiś głos wewnętrzny począł odpowiadać: „tak być musi!" —przywodząc mu zarazem na pamięć dawniejsze wspomnienia.

Nie mogło go to jednak przekonać.

To jedno czuł tylko dobrze, że ta młodość, która właściwie jeszcze mu się należała, ucieka już teraz przed nim bezpowrotnie, a takie jej figle, jak Antka i Kazika, wprost dziwią go tylko i męczą.

Nie chciał jednak okazać tego po sobie.

— Ot! wisusy! — rzekł tylko z uśmiechem.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

PIĘKNO I ŻYCIE.

Treść: Pierwsze odczucie piękna. — Pierwsze jego pojęcia. — Co jest dowodem piękna i jego miarą. — Piękno w naturze. — Początek sztuki. — Piękno stosowane. — Zmysły, jako łączniki piękna i wrażliwości. — Dwie ich grupy i dwa rodzaje. — Estetyka, jej pochodzenie i treść. — Uczucia, zmysły i przedmioty estetyczne.—Zadowolenie bezinteresowne, jako jedyny wynik piękna i dowód jego obecności.—Różny stopień wrażliwości na piękno.—Czem jest artysta. — Konieczność kształcenia wrażliwości estetycznej.

I.

Niema dnia, w którymby człowiek, i to każdy bez wyjątku, nie potrzebował wypowiedzieć słów: jakie to piękne — albo: jakie ładne, wdzięczne, powabne, miłe i t. p. Albowiem cochwila każdy z nas spotyka przedmioty, wobec których wypowiedzenie słów takich jest koniecznością. Widok zrumienionej ju-

trzenki rannej, blask łagodny księżyca, płynącego majestatycznie śród ciszy nocnej, oto dwa krańcowe punkta zjawisk całodziennych, które z ust ludzkich wyrywają wykrzyki zachwytu.

Kiedy człowiek widzi przedmiot, budzący w nim uwielbienie, nazywa go pięknym i czyni to nie na zasadzie jakiegoś ścisłego badania, rozbioru, jakiejś bardzo szczegółowej analizy tego przedmiotu, ale pod wpływem wrażenia i uczucia. Uczucie to bardzo odrębnej natury. Nie łączy się z niem chęć posiadania, ani myśl o użyteczności rzeczy widzianej, ani jakikolwiek interes moralny czy praktyczny, prócz jedynej rozkoszy z samego widzenia i zachwycania się.

Czy to jest dzieło sztuki, które można kupić na własność i przenieść do swojego mieszkania, czy to wspaniały widok wschodu słońca, najniepochwytniejsze dla rąk ludzkich widmo, wszystko jedno: pierś człowiecza czuje to samo i tak samo, ogarnia ją stan błogości, uniesienia i zachwytu, w których niema nic z pragnień ludzkich okrom jednego, aby stan taki trwał jaknajdłużej!

Przedmiotów, których widok stan ten wywołuje, natura posiada bardzo dużo i są pod tym względem krainy tak ubłogosławione, że je się w nich cokrok spotyka. Stworzył je Bóg sam, który tworom Swoim dał niezmierzoną liczbę przystrojów i kształtów, w rozmaitem zestawieniu wytwarzających najprzecudniejsze kombinacye. A widok ich budzi w piersi ludzkiej takie właśnie uniesienia i zachwyty, wypowiadające się słowami: jakie to piękne!

Z wykrzyków tych i ich celu wnioskować należy, że przedmioty owe dlatego są piękne, ponieważ widok ich sprawia takie wrażenia i uczucia, takie uwielbienia i taką błogość, czyli że człowiek pięknemi nazywa rzeczy, wywołujące w piersi jego to wszystko. Zapewne też nieinaczej było od początku ludzkości, która uczyła się zachwycać na widok tworów natury i pod ich wpływem urobiła sobie pojęcie piękna. Ale raz zakosztowawszy rozkoszy, jaką daje piękno, ludzkość zapragnęła doznawać jej ciągle. Nie wystarczało jej dotychczasowe źródło wrażeń i zachwytów — natura—które zresztą jest kapryśne i nietrwałe. Wszak jutrzenka rumieni się tylko przez chwilę, blask księżyca gaśnie, przyćmiony chmurami, piękno jakiegoś krajobrazu ustępuje przy lada podmuchu wiatru, potężna wspaniałość burzy kończy się z ostatnią błyskawicą, a uroku dni letnich granicą jest mrok wieczorny. Człowiek zapragnął czegoś pięknego, coby trwało wciąż, powtarzało się na każde zawołanie, coby nie było przypadkowem, ani przechodniem, coby było umyślnem. Zaczął tedy sam wyrabiać przedmioty, których wpływ budził wrażenia i uczucia takie same, jak i odbierane od pięknych tworów natury. A taką drogą zrodziła się sztuka, przyszło piękno sztuczne, wyrabiane, wytwarzane przez samego człowieka, który, widząc następnie, że mu się ta robota w skutkach powiodła, począł ją rozszerzać do całego swojego otoczenia, przystrajać pięknem siebie samego, i dom swój, i sprzęty swoje i czynności różne umysłu i rąk, dając tym sposobem zadowolenie tej nieposkromionej żądzy piękna, jaka nurtuje wiecznie pierś ludzką.

Jest tedy odwieczne i wiekuiste piękno natury, przypadkowe i bezwiedne, jest piękno sztuki, wynik roboty ludzkiej, istniejące dla samego siebie, moralnie i pożytkowo bez znaczenia jak tamto, ale trwałe, najsilniejsze, przemawiające najgłośniej i najżywiej — i wreszcie jest piękno *przystrojowe*, dobrotliwie ozdabiające przedmioty dla innych stworzone celów, piękno nazywane zwykle *stosowanem*, bo nie dla siebie samego istniejące, splątane ubocz nie z bytem przedmiotów pożytku lub wartości.

To, co nazywamy pięknem, co przeto budzi w nas uczucie bezinteresownego zachwytu, może być rzeczą o kształtach materyalnych, albo tylko wyrażoną myślą, ideą, zdaniem wywołującem wyobrażenie, lub też nawet samym dźwiękiem, który znaczenia i treści myślowej nie ma, a przecież zbudzić może uczucie piękna.

Tak z nami przecież czyni muzyka. Jest tylko jeden warunek nieunikniony: przedmiot piękna, w naturze czy w sztuce, musi na duszę ludzką oddziałać, jego wpływ z zewnątrz musi się wedrzeć do jej wnętrza, a inaczej stać się to nie może, jak tylko za pośrednictwem *zmysłów*, które są naturalnym i jedynym łącznikiem umysłu ludzkiego i wszechstworzenia. Czego się człowiek zmysłami nie dotyka, o tem wyobrażenia mieć nie może, tego pojąć i odczuć nie potrafi.

Zmysły ludzkie dwojakie są: jedne działają na odległość — przenoszą do umysłu naszego widmo przedmiotu znajdującego się w oddaleniu; inne potrzebują bezpośredniego zetknięcia się z przedmiotem, aby wpływ jego odbił się we wrażliwości naszej. Pierwsze mają te właściwość, że przedmioty, przeniesione z zewnątrz za ich pośrednictwem do wyobraźni naszej, nic nie tracąc z siebie, utrwalają się w niej przez pamięć. Druga grupa zmysłów takich skutków nie sprowadza. To, co one poznają przez zetknięcie się bezpośrednie, przestaje na nie oddziaływać, skoro ono ustanie, nie pozostawiając ani cząsteczki swego widma w pamięci ludzkiej. Do pierwszej grupy należą wzrok i słuch, do drugiej inne zmysły. Wzrok i słuch pozwalają umysłowi ludzkiemu odbierać od przedmiotów wrażenia natury bardzo obszernej i skomplikowanej. Kiedy się patrzy na coś, widzi się tę rzecz w pewnem oddaleniu, widzi się jej kształty, jej otoczenie, nabiera się pojęcia o wielkości, o stosunku do innych przedmiotów, *ogarnia się* rzecz tę myślowo, poznaje się jej *zewnętrzność*, a przy pomocy wnioskowania i jej istotę wewnętrzną. Potem pamięta się ją i choć zniknie zprzed oczu, odtwarza się ją w wyobraźni własnej. Tymczasem smak na przykład jakże działa odmiennie a ograniczenie! Potrzebuje bezpośredniego zetknięcia się z przedmiotem, poznaje jego jednę właściwość, bez względu na jego wielkość, kształt, otoczenie, a skoro rzecz się usunie, wrażenie ginie, w pamięci się nie utrwala, przez wyobraźnię powtórzonem być nie może. Co więcej, działanie smaku jest takie, że cząstkę lub nawet całość badanego przedmiotu niszczy. Wszystkie też trzy zmysły grupy drugiej w działaniu swojem są *interesowne*, odpowiadają wyłącznie tylko potrzebie fizycznej organizmu ludzkiego.

Nie mówi się też nigdy o tem, czego się człowiek dotyka lub co smakuje, że jest piękne, gdy to tylko dla smaku lub dotyku jest dostępne. Mówi się wprawdzie niekiedy, że coś pięknie pachnie, ale wyrażenie to błędne pochodzi ztąd, że dla węchu zapach jakiegoś przedmiotu jest dostępny z oddalenia, że przeto pojęcie smaku zmieszane jest z pojęciami kształtów, rozmiarów i t. p. Węch, tak jak dotykanie i smak, potrzebuje także bezpośredniego zetknięcia się z przedmiotem wonnym, którego nie stanowi rzecz, wydająca zapach, ale jej cząsteczki ulatniające się w powietrzu. Węch, tak samo jak smak i dotykanie, daje tylko jednostronne pojęcie przedmiotu; i on odnoszonych wrażeń w pamięci nie utrwala i on — jak tamte — uczuć żadnych, które są sumą wrażeń, nie budzi. A dlatego właśnie nie jest dostępnym dla piękna.

Uczucie jest gruntem, na którym piękno wzrasta i wynika, jest pierwszym sprawdzianem jego istnienia — miara uczucia jest miarą dla jego siły, a dowodem zupełnej nieobecności piękna w jakimś przedmiocie jest zupełna względem niego obojętność.

Piękno i sztuka oddawna stanowiły dla nauki i uczonych przedmiot do badań. Umiejętność, która się badaniami temi zajmuje, nazwano *estetyką*, a nazwa ta pochodzi od greckiego *aistesis*, co popolsku znaczy *uczucie*. Badania estetyczne mają tedy na celu nietylko piękno i sztukę, ale i te uczucia, jakie one w piersi ludzkiej wywołują. Uczucia budzone przez piękno nazwano *estetycznemi*.

Wzrok i słuch są to zmysły *estetyczne*, przez ich działanie bowiem człowiek odbiera wrażenia piękna i one pozwalają w sercu jego budzić mu uczucie *estetyczne*.

Tak samo nazywają się przedmioty, zawierające w sobie siłę, budzącą uczucia *estetyczne*. Zauważono po wielu badaniach i spostrzeżeniach, że przedmioty te nie potrzebują być ani pożyteczne, ani dobre, ani rozumne, ani kosztowne, że jedyną ich właściwością jest siła, budząca uczucia estetyczne, siła dotąd nieokreślona, niezbadana, która jednak potężna jest i wpływowa. Ktoś, co ulega jej działaniu, nie szuka w tem korzyści, ani dobra; zachwyca się, czuje się przez ten zachwyt szczęśliwym, zadowolonym i poza tem zadowoleniem estetycznem nie żąda niczego więcej. Bezinteresowne przeto *zadowolenie* jest wynikiem piękna i zarazem jedynym, wymownym dowodem jego obecności.

Zadowolenie takie, jak to już powiedziano wyżej, przychodzi od natury otaczającej, pięknej przypadkowo, nietrwałe, i od sztuki, jako roboty umysłów i rąk ludzkich, dokonywanej wyłącznie tylko dla celów piękna. Ludzie, którzy robią *sztukę*, którzy tworzą *piękno*, nazywają się artystami. Są to ludzie z natury wrażliwi i uczuciowi bardziej niż inni, a właśnie nadmiar ich wrażliwości i uczuciowości czyni ich zdolnymi do tworzenia rzeczy pięknych. Dlatego to nie każdy artystą być może i nie wszyscy artyści jednej dorastają miary. Choćby zresztą wszyscy jednaką posiadali wrażliwość i uczuciowość, to jeszcze różniliby się na punkcie zdolności użytkowania z nich ku celom sztuki, a zdolność taka zależy bardzo od rozmaitych czynników moralnych i intelektualnych, które w człowieku szczepią i potęgują wychowanie, praca, otoczenie, warunki bytu i t. p.

Zdolność przytem samego odczuwania piękna istnieje nietylko u artystów w rozmaitej sile. Bardzo często spotykamy ludzi, którzy z całą szczerością przyznają się, że sztuka, na przykład muzyka, żadnego nie czyni na nich wrażenia. Są też i tacy, którzy na punkcie zachwytu dla dzieła sztuki dochodzą do entuzyazmu, gdy inni zdradzają zaledwie łagodnym uśmiechem swoje zadowolenie estetyczne. A zatem jeden i ten sam przedmiot piękny wywołuje różny stopień uczucia w ludziach różnych. Mieszkaniec strzechy wieśniaczej, wrażliwy na najprostszą piosenkę, nie chciałby słuchać symfonii Beethovena, a oczarowany widokiem religijnego malowidła, czerwonego od jaskrawości, namazanego nieudolnie przez częstochowskiego artystę, odwróciłby się obojętnie od Madonny Rafaela. W poczuciu piękna kształcić się trzeba i każdy w niem wykształcić się może, bo chyba niema pod słońcem człowieka, w którego piersi nie tkwiłaby zdolność odczuwania piękna, oczywiście choćby w najelementarniejszym zaczątku. Wszakże i dziki mieszkaniec Patagonii łuk swój zdobi nacięciami i barwami, które są wynikiem jego instynktu estetycznego. Dla niego są to rzeczy piękne i sprawiają mu zadowole-

nie estetyczne. Ażeby odczuwać rozkosz pod wpływem najwyższych, najdoskonalszych, najsubtelniejszych objawów piękna w sztuce, niedosyć jest być na piękno wrażliwym, trzeba jeszcze posiadać wrażliwość estetycznie wykształconą.

St. M. Rzętkowski

Z DZIEDZINY NAUKI I WYNALAZKÓW.

Glin.—Stacya meteorologiczna na górze Montblanc.— Kolej na Jungfrau. — Jak piżmoszczur oddycha pod lodem. — Badania nad rozwojem pojęć wzrokowych.

Zpomiędzy kilkudziesięciu metalów, istniejących w naturze, przemysł posługuje się dotąd bardzo niewielką ich liczbą. Jedne nie posiadają własności odpowiednich jego potrzebom, inne spotykają się rzadko i w małej ilości, albo też z bardzo wielką trudnością dają się otrzymywać ze swoich rud w stanie czystym i dlatego cena ich jest nieprzystępną przy zastosowaniu praktycznem. Do chwili obecnej tylko żelazo, miedź, cynk, cyna i ołów z pospolitych, a z rzadszych i w mniejszej ilości używanych nikiel, bizmut, srebro, złoto i platyna muszą zaspakajać wszystkie potrzeby naszego przemysłu. Niewielka to liczba, którą wszakże powiększamy sztucznie, łącząc ze sobą niektóre z tych metalów, najczęściej w stanie roztopienia, przyczem powstają tak zwane spływy, posiadające częstokroć bardzo szacowne własności, dzięki którym lepiej się nadają do niektórych zastosowań, niż metale wzięte oddzielnie. Przykładem takich spływów jest mosiądz, powstający ze stopienia miedzi i cynku, lub bronz, złożony z miedzi i cyny.

Obecnie mamy już prawie pewność, że wkrótce jeden jeszcze i to bardzo szanowny metal zajmie poważne miejsce w przemyśle i potężnie wesprze jego rozwój. Metalem tym jest *glin*, odkryty w roku 1845 przez Wöhlera. Należy on do najbardziej rozpowszechnionych na ziemi pierwiastków chemicznych, bo znajduje się w każdej glinie i w wielu innych minerałach i skałach, będących ważną częścią składową skorupy ziemskiej. Po udoskonaleniu sposobów jego otrzymywania przez St. Claire Devilla w roku 1854, zaczęto używać tego metalu do celów praktycznych, ale w bardzo małym zakresie, bo chociaż jego cena, wynosząca wówczas 3,000 franków za kilogram, obniżała się stopniowo i w r. 1863 doszła do 140 tylko franków, to i tak jeszcze nie pozwalała na obszerniejsze stosowanie glinu, którego też wyrabiano corocznie tylko 5 do 7 tysięcy kilogramów.

W ostatnich latach sposoby wyrabiania glinu ulepszyły się do tego stopnia, że obecnie cena kilogramu spadła już do 20 franków, a wkrótce, podług zasługujących na zupełną wiarę obietnic, obniży się do 5 franków za 1 kilogram, a zatem do pół rubla za funt. Że zaś glin jest blizko 3 i pół razy lżejszy od miedzi, więc na przedmiot danych wymiarów potrzeba go 3 i pół razy mniej niż tego ostatniego metalu, zkąd się pokazuje, że glin będzie mógł śmiało współzawodniczyć z miedzią pod względem ceny wyrobionych z niego przedmiotów.

Glin jest tak biały jak srebro, któremu nie ustępuje też ani blaskiem, ani niezmiennością w powietrzu; z upływem czasu nieco błękitnieje na powierzchni i staje się podobnym do cynku, ale nie rdzewieje i nawet w wysokiej temperaturze nie utlenia się bezpośrednio; nie zmienia się także pod wpływem rtęci ani siarki i w tym względzie stoi wyżej od srebra, które z temi ciałami łatwo się łączy i w zetknięciu ze znajdującym się w mieszkaniach siarkowodorem czernieje. Rozpuszcza się w chlorowodorze (kw. solny) i w tlenkach alkalicznych (na przykład w potażu gryzącym).

Topi się przy 625°, więc łatwiej niż miedź i srebro, a tem bardziej żelazo. Jego ciężar właściwy wynosi 2,56, a zatem glin jest najlżejszym ze wszystkich używanych metalów, 3 razy lżejszym od żelaza, a 8 razy od złota. Jest tak twardy jak srebro i daje się łatwo wyciągać na cienkie druty, które są przeszło 3 razy mniej wytrzymałe niż takie same druty żelazne, t. j. zrywają się przy trzy razy mniejszem obciążeniu, lecz jeżeli metal został poprzednio poddany walcowaniu, wtedy daje druty daleko mocniejsze, tylko półtora raza słabsze od żelaznych i ustępujące pod względem wytrzymałości jedynie stalowym i żelaznym.

Powyższe własności wskazują, że glin może w wielu razach zastąpić srebro, w innych miedź, a nawet żelazo, tam zwłaszcza, gdzie więcej idzie o lekkość i trwałość przedmiotu, niż o jego cenę. Dotąd używano glinu tylko do wyrobu medalów, sztućców stołowych, niektórych naczyń, teleskopów i t. d. W przyszłości będzie on niezawodnie używany na druty telegraficzne i telefoniczne, zwłaszcza na liny podmorskie, które dziś tak łatwo rwą się przy zakładaniu pod własnym swoim ciężarem. Dla swojej lekkości znajdzie zastosowanie przy budowie balonów, statków parowych, powozów i wagonów, które przy mniejszym ciężarze zyskają na prędkości biegu, będzie używany na pochwy i rękojeście pałaszów, kaski, drabiny ratunkowe i górskie, na nosze dla rannych, na narzędzia ogrodnicze, może nawet na wyroby ślusarskie, kraty, balkony i inne ozdobne wyroby, na narzędzia muzyczne, dzwony, struny fortepianowe, do czego nadaje się zpowodu wielkiej dźwięczności. Będzie także doskonałym materyałem na monetę zdawkową, czyli bilon. Wreszcie potrzeba zauważyć, że w połączeniu z innemi metalami glin daje spływy, mające bardzo cenne własności i przydatne do rozległego zastosowania.

* * *

Wiadomo jak ważne znaczenie mają dla nauki i dla celów praktycznych *stacye meteorologiczne*, przy których rozpowszechnieniu i pomocy może się uda przyszłym pokoleniom rozwikłać i ustalić bardzo dotąd zawiłe prawa zjawisk powietrznych i przepowiadać pogodę. Od pewnego czasu zaczęto zakładać takie stacye w miejscowościach, wysoko wzniesionych nad poziom morza i sięgających tych warstw powietrza, z których przychodzą do nas wielkie ruchy atmosfery, jak na przykład cyklony. Zjawiska tego rodzaju, postrzegane na dole, są najczęściej jedynie odbiciem wirów górnych, które tylko niekiedy dolnym swym końcem sięgają nizin i sprawiają w nich spustoszenia.

W ubiegłym roku najwyższą w Europie stacyą tego rodzaju założył Francuz I. Vallot na górze Mont Blanc, a mianowicie na skale des Bosses, wzniesionej na 4,400 metrów. Sam szczyt góry wznosi się do wysokości 4,810 m., ale na nim nie można było zbudować postrzegalni z wielu powodów, a głównie dlatego, że wierzchołek ten jest lodowcem, który, jak wszystkie lodowce, ustawicznie się zsuwa.

Po uzyskaniu pozwolenia od gminy Chamounix, złożono w dolinie szalet drewniany, odznaczający się wyjątkową mocą i opornością na działanie wichrów, a zarazem wielką lekkością. Po złożeniu i ponumerowaniu sztuk oddzielnych, rozebrano go napowrót i przewieziono cały materyał na mułach, aż do miejsca leżącego o 2,000 metrów poniżej skały des Bosses. Ztąd, aż na samo miejsce, tak same części szaletu, ważące razem 1,700 kilogramów, jak również namioty i około 100 pak z rozmaitemi narzędziami i przedmiotami, a nadto piec, łóżka i t. d. trzeba było dźwigać po urwiskach i lodowcach na grzbietach ludzkich. Z uwagi na pożytek ogólny (bo szalet miał być zarazem i schroniskiem dla podróżnych, wdzierających się licznie colato na Mont Blanc), korporacya przewodników uchwaliła dokonanie tej pracy bezpłatnie.

Gdy już cały materyał był zgromadzony na obranej płaszczyźnie, 25 Lipca rozpoczęto robotę. Zniwelowano plac, złożono szkielet szaletu, obito deskami jego ściany zewnętrzne, nakryto go dachem z wojłoku smołowcowego i obłożono wkoło wałem z kamieni. Wichry i zawieji często przerywały robotę, której zaledwie 3 Sierpnia udało się dokończyć. Przy pomocy piecyka temperatura w zbudowanym szalecie dała się utrzymać na takiej wysokości, że nie spadała nigdy pod zero.

Szalet jest niewielki i składa się tylko z dwóch pokoików; jeden zawsze otwarty stanowi schronisko, drugi pracownię, która jest zamknięta i przeznaczona tylko dla uczonych badaczów. Na początek nie można było myśleć o większej budowli, bo trzeba było koniecznie wystawić ją za jednym zamachem, w odstępie pomiędzy dwiema nawałnicami, tak często przytrafiającemi się na tej wysokości. Ale na początku lata 1891 roku szalet zostanie rozszerzony i wtedy będzie się składał z sześciu izb, z których dwie przeznaczone są na schronisko dla gości i przewodników, a w czterech innych mieścić się będą kuchnia, postrzegalnia, sypialnia, pracownia, sala spektroskopów i fotograficzna.

Poczynając od lata 1891 roku, przyrządy działające automatycznie będą wciągu całego roku notowały ciśnienie powietrza, temperaturę, wilgotność, ciepło na słońcu, kierunek i prędkość wiatru. Prócz tego dla badań porównawczych powstają cztery pomocnicze stacye, w Grands Mulets (3,000 metr.) Pierre Pointue (2,000 m.), Chamounix (1,100 m.) i Sallanches (600 m.), gdzie będzie się notowało ciśnienie, temperatura i wilgotność, oraz trzy stacye tylko letnie, z których jedna, na samym wierzchołku góry (4,810 m.), do notowania temperatury i wilgotności.

Pomimo bardzo krótkiego istnienia nowej stacyi, otrzymano już z robionych dotąd postrzeżeń ważne wypadki, dowodzące, że przebieg zjawisk meteorologicznych na wielkich wysokościach ulega zupełnie innym prawom, aniżeli w nizinach, szczególnie co do zmian peryodycznych ciśnienia, temperatury i wilgotności.

Podczas burzy, barometr wgórze zachowuje się zupełnie inaczej niż wdole; mianowicie słup rtęci okazuje ciągłe i gwałtowne podskoki i spadki. Temperatura jamy ustnej obniża się przy wstępowaniu dogóry, a różnica na wysokości Mont Blanc wynosi 5°. Nie ulega też wątpliwości, że powodem znanej choroby górskiej jest niedostateczna ilość tlenu w powietrzu; wdychanie czystego tlenu przynosi natychmiastową pomoc w tej chorobie i usuwa ją zupełnie. Objawy chorobowe występują wczasie ruchu i zmęczenia, a sam wypoczynek wystarcza do ich usunięcia.

Przy dłuższym pobycie i należytem przyzwyczajeniu się organizmu, czynności życiowe na wielkich wysokościach odbywają się normalne, ale zpowodu niedostatecznej ilości tlenu są jakby zmniejszone, osłabione.

Wszelki wysiłek sprowadza tu objawy chorobliwe daleko łatwiej niż w nizinach, zpowodu, że w rozrzedzonem powietrzu ustrój nasz nie może tak szybko, jak potrzeba, wynagradzać sobie strat poniesionych.

(*Dokończenie nastąpi.*)

ZAWIERUCHA.

PRZEZ

Marc-Mounier'a.

Przekład z francuzkiego

M. G.

I.

Ujrzałem ją poraz pierwszy w Neapolu, we Wrześniu 1870 roku; ubrana była w czerwony kaftanik i węgierski kapelusik, nogi jej były w ciągłym ruchu, kolana drżały, ręce poruszały się gorączkowo, przebierając palcami w powietrzu, włosy nawet, krótko obcięte, trzęsły się za każdym ruchem głowy. Cała jej szczupła i zapalczywa osoba kręciła się bezustannie, a nadewszystko język latał poszalonemu. Wpadła do mnie jak bomba, żądając polecającego listu do Garibaldiego, nie mówiąc mi nawet zkąd przybywa, kto ją do mnie przysłał; nie dowiedziałem się nigdy o jej przeszłości nie dlatego, ażeby się z nią ukrywała, lecz że obojętną była zupełnie na własną osobę i nie troszczyła się o nic, oprócz szczęścia bliźnich. Bardzo wstrzemięźliwa i bardzo cnotliwa, bez cienia zalotności, bez żadnych potrzeb, pożyczała pieniędzy od wszystkich, rozdawała je bez zastanowienia pierwszemu lepszemu. Wspierani przez nią biedacy uważali ją za milionerkę, a kilku właścicieli hotelów, którym się nie wypłacała, wyrzuciło ją poprostu za drzwi. Mówiła wszystkiemi językami z nieuleczalnym akcentem, który zdradzał angielskie pochodzenie, i ten szczegół, w połączeniu z burzliwem obejściem się, zjednał jej przezwisko, pod którem wszyscy ją znali: miss Zawierucha.

Przybyła do Neapolu z zamiarem wzięcia udziału w wojnie przeciwko Franciszkowi II-mu, za jednym zamachem postanowiła umoralnić lud i nawrócić go na protestantyzm. Przeznaczono ją do ambulansów; przyjęła ten ciężki obowiązek i spełniła go z wielkiem poświęceniem, ale przy tem objawiła tyle zapału, tak nadzwyczajną wrażliwość, że krzyczała głośniej niż ranni, unosiła się nad barbarzyństwem chirurgów, kłóciła się z księżmi przy konających, aż wkońcu jenerał Bixio, niezbyt cierpliwy z natury, poprosił ją ażeby zechciała powrócić do Neapolu. Wtedy rzuciła się z całą zapalczywością do dzieła umoralniania i nawracania ludu, od rana do wieczora biegała od schronienia do przytułku, od szpitala do szpitala, od klasztoru do klasztoru, powracając z tych wycieczek przejęta słusznem oburzeniem, z planami reform, które mogły przerazić najzapaleńszych radykałów. Żądała ażeby wsadzono do więzienia, o chlebie i wodzie, wszystkich nadzorców, dyrektorów, gubernatorów, kardynałów, biskupów, proboszczów, zakonników, zakrystyanów, zakonnice, tercyarki, doktorów, infirmerów, aptekarzy, urzędników, służących i posłańców, jednem słowem całą służbę zakładów dobroczynnych bez wyjątku.

Syndyk Neapolu, rozumny człowiek, uśmiechając się, powiedział raz do niej:

— Jeżeli uwięzimy wszystkich tych, którzy zanieczyścili kraj, któż pozostanie do zamiatania śmieci?

Pewnego rana miss Zawierucha wpadła do mnie i porwawszy mnie za rękę, poprowadziła za miasto, do głębokiej i wysokiej jaskini, wykutej w skale przez kamieniarzy dobywających kamień. We wnętrzu tej jaskini stały rzędami łóżka, jedno tuż obok drugiego; możnaby sądzić, że to przytułek dla nieuleczalnych. Po przejściu dwudziestu kroków, byłem zmuszony zawrócić, zatykając sobie nos.

— Bardzo pan jesteś delikatny — powiedziała miss Zawierucha, — a jednak żyją tu setki chrześcian niegorszych od nas. Całe rodziny najmują tu mieszkanie, to jest miejsce na łóżko na którem śpią razem: ojciec, matka, dzieci małe i duże, synowie i córki. Widzisz pan tę dziurę w ścianie? wchodzi tędy trochę światła i powietrze, miejsce jest dobre; płaci się za nie dziesięć franków na miesiąc. Tu mieści się arystokracya, gardząca tymi którzy siedzą w głębi, w ciemnościach, i płacą miesięcznie tylko dwadzieścia pięć su. Ludzie ci robią szpagat i pracują ośmnaście godzin na dobę, a wiesz pan ile zarabiają? Dziesięć su dziennie! Dzieci obracają kółka warsztatu od rana do wieczora, jedzą suche kasztany i sypiają na słomie, gdzie nocą latają po nich szczury. Matka, ażeby je obronić od tych obrzydliwych zwierząt, rzuca kamieniami w ścianę. Nieprawdaż, Maryanno?

Kobieta, młoda jeszcze lecz zwiędła, zwijająca włókna konopi, podniosła na nas oczy podsiniałe i zaczerwienione, potwierdziła słowa Angielki i dodała, że z tych dziesięciu su, które dostaje za ośmnastogodzinną pracę, pięć wydaje na zakupno konopi i najęcie warsztatu. Maryanna jednak żyła, i to z pięciorgiem dzieci, ojciec zaś uprawiał rzemiosło żebraka i przegrywał pięć piastrów tygodniowo w loteryą. W zimie jeszcze to jakoś szło, ale w lecie, które na Południu jest najgorszą porą roku, życie było bardzo ciężkie, szczególniej gdy nie było deszczu. Trzeba było chodzić po wodę daleko i opłacać właściciela studni, który wyzyskiwał pragnienie biedaków. Szpagaciarka zakończyła filozoficzną uwagą:

— *E pure s'acrremedia* (a jednak daje się jakoś radę).

— Słuchaj — odezwała się miss Zawierucha, która miewała nagłe natchnienia, — czy chcesz mi dać jedno ze swoich dzieci?

— Co to to nie! — krzyknęła Maryanna, zrywając się i paląc ognistem spojrzeniem wielkich czarnych oczu małe szare oczy Angielki.

— Nie zrozumiałaś mnie, Maryanno. Nie chcę ci odbierać dziecka, chcę je tylko wychować dobrze, wezmę je na swój koszt, lecz będzie ono zawsze twoją własnością. Będziesz je widywała ile zechcesz i odbierzesz, jeśli nie będziesz zadowolona.

— Jeżeli tak — odrzekła Maryanna trochę jeszcze wahająco, — pójdę się zapytać wielebnego ojca.

— Zawsze wielebny ojciec! — mruknęła Angielka, gdyśmy wyszli z groty. — Zobaczysz pan, że nie pozwoli oddać mi dziecka. Ale zabiorę je przemocą! A teraz chodźmy! nie widziałeś jeszcze nic. Teraz pokażę panu najsroższą nędzę. W tej jaskini powroźników ludzie przynajmniej pracują, a gdy pogoda, cały ten tłum wylega jak mrowisko i w blasku słońca kręci sznurki i obraca koła. Teraz pójdziemy do dzielnicy portowej, a tam zobaczysz pan tych, którzy nie pracują wcale.

Musiałem iść i obejrzeć jeden z tych domów, które nazywają *fondaci*; było to coś okropnego. Długi korytarz bez drzwi, wychodzący na ulicę, smrodliwe podwórze, schody pokryte błotem, sześć pięter, a na każdem ośm izb bez powietrza i bez słońca. W podwórzu płynęła woda wydobywająca się ze ścieków, szczury przebiegały po błocie, kobiety śmiały się głośno, przypatrując temu. Na każdem piętrze pierwsza izba bez okien miała trochę światła przez otwarte do sieni drzwi, drugą oświetlało tylko światło dochodzące z pierwszej izby, trzecią z drugiej i tak dalej aż do ósmej, w której ciemno już było jak w lochu. W niektórych izbach w kącie były zlewy lub studnie, bo ścieki i studnie łączyły się w piwnicach tego straszliwego domu. W naszych oczach kobieta jakaś, wyciągając wiadro wody, wyciągnęła je pełne nieczystości i pokazała nam to ze śmiechem, bo ci nieszczęśliwi wciąż się śmieją. W każdej izbie mieściło się parę rodzin, jedne z nich posiadały łóżko, inne sypiały na zgniłej słomie. Widziałem jak ta słoma ruszała się, a Bóg jeden wie, jakie siły ją poruszały. Płacono od ośmiu do piętnastu franków miesięcznie za taką izbę, a nie były one odświeżane od czasu cholery w 1837 roku. Dwudziestoletnia kobieta leżała umierająca na tyfus, a wiedźmy otaczające ją żałowały tylko pięknych włosów chorej, które jej obcięto.

W innem miejscu pokazano mi dziewczynkę, której szczury wyjadły oko.

— Gdybyż przynajmniej wygryzły oba oczy — mówiły kumoszki, — biedna istota dostałaby się do przytułku dla niewidomych i miałaby na całe życie kawałek chleba bez pracy, ale z jednem okiem co ona pocznie?

Takie było *fondaco* któreśmy zwiedzili, a było takich sto w tej dzielnicy i zamieszkiwały w nich setki biedaków. Wszystkie one nosiły nazwy szumne lub ironiczne: „Święty Kryspin," „Pułapka na szczury," „Miłość Boża" i t. p. Wyszedłszy z tej nory, ujrzeliśmy rosłego piętnastoletniego chłopaka, który uganiał się za bawiącymi malcami i psuł im zabawę. Ponieważ miss Zawierucha chodziła zawsze uzbrojona w narzędzie, które służyło jej za parasolik, parasol i laskę, obiła na miejscu małego tyrana, który, płacząc, schwytał się ręką za policzek, a gdy po chwili opuścił rękę, twarz jego była zakrwawiona. Można iść o zakład, że oszust sam się podrapał. Lecz Angielka uczuła wyrzut sumienia i zażądała odemnie lira na wynagrodzenie wyrządzonej krzywdy, poczem powiedziała chłopcu żeby szedł za nami i umieściła go u mnie w charakterze czyściciela butów.

Tęgi chłopak, przezwany przez towarzyszów Pallone, syn niewiadomego ojca i zapomnianej matki, urodzony w *fondaco*, nie umiał żadnego rzemiosła, nie znał ani jednej litery i żył na ulicy niewiadomo z czego, chlubił się że okrada przechodniów i jest postrachem kobiet, oczy miał spuszczone ku dołowi, brwi, łącząc się ponad nosem, tworzyły trójkąt wielki podnoszący się nad czołem, czub włosów, który podczesywał dogóry, imponował tchórzom. Chłopak był zręczny i przemyślny; zanim dwa dni upłynęły, nauczył się skręcać papierosy z mojego tytoniu i palić je, czyścić moje buty i nosić je ze mną do spółki, czyścić moje ubrania i wypróżniać w nich kieszenie.

Miał wszelkie możliwe wady, trzymała go w pewnych karbach jedynie religia, gdyż wierzył w dyabła i cowieczór mamrotał „Ojcze nasz," którego wyrazy przekręcał do niemożliwości. Pewnego wieczora, gdym mu pokazał rycinę przedstawiającą sąd ostateczny, odniósł mi chustkę, portmonetkę, cygarniczkę i pęk kluczyków, co wszystko, jak utrzymywał, odebrał z narażeniem życia złodziejowi uzbrojonemu od stóp do głów.

Oprócz piekła lękał się Pallone i kija, który nie powstrzymywał go od dopuszczania się przestępstw, lecz skłaniał do przyznania się do win i do naprawienia ich o ile możności. Dawał się on poskramiać nawet ludziom mniej silnym od siebie, jeżeli tylko nosili pańskie ubranie, i *galantuomini*, których nienawidził i okradał bez skrupułu, byli w jego mniemaniu istotami wyższego rzędu, które miały prawo bić go i łajać; schylał przed niemi głowę i... rabował ich kieszenie. Tak więc, dzięki religii i kijowi, można było żyć w spokoju z panem Pallone i podobnymi jemu. Miss Zawierucha przedsięwzięła leczenie tej duszy, a jednocześnie, pomimo perswazyi, postanowiła wziąć na wychowanie jedno z dzieci Maryanny, małego Toniela.

Nie doszła do tego bez walki; ojciec, który był żebrakiem i miał przydomek *Chiagnone* (płaczek), nie chciał powierzyć syna cudzoziemce. Miss Zawierucha postanowiła rozmówić się z tym zacnym mężem i odszukała go przy drodze wiodącej z niższego miasta do fortu San-Elme. Słysząc że ktoś nadchodzi, Chiagnone z zamkniętemi oczami zaczął śpiewać nieskończenie długą pieśń, w której wzywał pomocy świętej Łucyi, patronki niewidomych, i to głosem tak żałosnym, że wzruszyłby serce nawet filantropa z zawodu. Angielka zasiadła na ławce obok niego i zamiast pieniędzy, obsypała go zapytaniami. Zaczęła badać jaki wypadek pozbawił go wzroku i chciała go natychmiast zaprowadzić do młodego doktora Quadri, który leczył darmo biedaków. Chiagnone zaczął się bronić, jak gdyby prowadzono go na szubienicę; musiał się jednak poddać, dzięki wdaniu się dwóch policyantów, którzy, wziąwszy go pod ręce, zawlekli przemocą do doktora. W owym czasie, dzięki energicznemu wystąpieniu Leopolda Rodino, wojna została wypowiedziana trzynastu tysiącom żebraków, których rządy Burbonów pozostawiły po sobie w Neapolu; urządzano na nich obławy i rozmieszczano ich po szkółkach, warsztatach, przytułkach i szpitalach. Chiagnone miotał się jak opętany, złorzecząc tyranii piemonckich rządów.

— Jeżeli mi powrócicie wzrok, to odbierzecie mi sposób zarobkowania — wrzeszczał do policyantów, trzymających go z całej siły.

Doktór zbadał jego oczy i nie odkrył w nich żadnej choroby.

— Czy ty naprawdę nie widzisz?

— *Com'e vero Dio* (Jak Bóg jest na niebie) — odrzekł Chiagnone, podnosząc rękę ku niebu.

— W takim razie jedno tylko może cię uleczyć, to jest przypalenie powiek rozpalonem żelazem. Niech podadzą żelazo.

— Ależ już widzę, widzę! — wrzasnął Chiagnone, otwierając szeroko oczy i usiłując uciec, ale miss Zawierucha przytrzymała go za rękę.

— Ponieważ pan widzisz — powiedziała (Angielki nie mówią nikomu „ty") — dlaczego żebrzesz?

— Czy lepiej byłoby kraść?

— Mógłbyś pracować.

— Mam żonę i pięcioro dzieci. Gdybym pracował, jakżebym mógł je utrzymać?

Umieszczono go w fabryce w Scafati, gdzie mógł z łatwością zapracować na życie; uciekł ztamtąd w góry, zrobił się stronnikiem Burbonów i pracował jakiś czas dla tronu i ołtarza, obdzierając podróżnych. Rzemiosło to przyniosło mu dużo pieniędzy i nabawiło silnego reumatyzmu; chcąc się wyleczyć, schronił się do klasztoru i został braciszkiem, ale dawny nałóg wziął górę. Pewnego ranka, o kilka kroków od klasztoru, nie zdjąwszy nawet kalita, chciał obedrzeć przechodnia; przechodzień, silniejszy, wziął go za kołnierz i oddał w ręce gwardyi narodowej, która go rozstrzelała.

Ucieczka pana Chiagnone uwolniła miss Zawieruchę od przeciwnika; pozostawał do przejednania drugi jeszcze, wielebny ojciec, który był wyrocznią dla Maryanny.

Angielka wybrała się sama do don Kristofora (tak go nazywano w parafii). Okrągły, dobrze upasiony człowiek, z zadartym nosem i bystremi oczyma, siedział przy stole nad wazką makaronu z pomidorami, obsypanego suto tartym serem.

— Doskonałe — przemówił ksiądz, podsuwając potrawę Angielce, która odsunęła ją z wymownym gestem i zasiadłszy, zabrała się natychmiast do przedstawienia interesu.

Don Kristoforo nie przestał jeść ani na chwilę, a na każdy jej frazes odpowiadał „hai!" co nie oznaczało ani „tak" ani „nie," ani „dobrze" ani „źle." Wypróżniwszy wazkę, powiedział do służącej, która przyszła sprzątać ze stołu:

— Makaron trochę przegotowany, moja stara. Jutro trzymaj go w gorącej wodzie tyle tylko czasu, ile potrzeba na odmówienie „Zdrowaś Marya."

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Z TYGODNIA

Jak przystało wiośnie prawdziwej, dała nam już ona popisy wyścigowe, które mają przywilej wyprowadzania tłumów na pola mokotowskie. Ciągną tam ludzie, gapią się, klaszczą zapamiętale czerwonym i niebieskim, karym i gniadym artystom, a potem, wróciwszy do dom, nieraz po ulewnym deszczu, który piękne stroje zamienia na przemokłe ścierki, zapytują sami siebie: *cui bono?*

Cui bono, to znaczy... po kiego licha! Kiedy idę na wyścigi, wiem że będę widział chudych żokiejów i chude szkapy, uganiające się za wiatrem w polu, że wolno mi się będzie wyprażyć na piekącem słońcu, opić ciepłej limonady lub zwietrzałego bawara, ale nie wiem nic a nic, jaki cel ma to nieolimpijskie igrzysko. Choć to już rok pięćdziesiąty zapasów wyścigowych, rok jubileuszowy istnienia Towarzystwa, nikt jeszcze przez tak piękny okres czasu nie nauczył się dokumentnie, *cui bono?*

Przez te upłynione pół wieku wiele fortun pańskich zdążyło prześcigać się ku nicości, wiele tysięcy ciekawe tłumy widzów zsypały na powtarzające się coroku widowisko, a jeszcze nie wzrosła liczba amatorów sportu końskiego, jeżdżących po połaciach nie, nie ubyło ani trochę hetek fornalskich, dychawicznych i zołzowatych, nie wytworzyła się ani jedna stadnina wpływowa na ogólną hodowlę w kraju. Więc poco to naprawdę? „Panowie jadą!" bardzo to pięknie, ale niechże nie jeżdżą dla czczej zabawki, dla chwilowego popisu, niechaj wyjeżdżą cośkolwiek okrom ciekawego widowiska, które ko sztownem bywa, to prawda, ale też na tem i koniec.

Rozumiemy dobrze lordowskie wyścigi Anglii, których skutek taki, że albiońskie folbluty stanowią odrębną rasę, rozchodzącą się na wszystkie strony świata, ale nie możemy pojąć, co znaczą popisy tych rumaków na torze mokotowskim, na którym przecież nikt, prócz naszych udanych lordów, po angielsku nie mówi? Więc to sport pański i nic więcej, rozgrywka o grube stawki, totalizator, szulerka? Ależ tak, niema co prawdy w bawełnę obwijać: poza temi ślicznościami ani ździebełka, któreby się nazwać mogło rozumnym celem i prawdziwym pożytkiem. Ze względu na wielki nakład, jakiego ta zabawka pańska wymaga, ze względu na problematycznego szczurka, jakiego ta niebotyczna góra rodzi, ze względu wreszcie na kłamliwie przesadzone znaczenie tych igrzysk końskich, szczerze się przyznam, że wolę stokroć popisy cyrkowe (których swoją drogą nie znoszę) i... spadanie pana Dzikowskiego z wysokości 3,000 stóp na ziemię!

Przepraszam — państwo jeszcze nie wiecie, kto jest pan Dzikowski? — więc go wam przedstawię. Do pewnego czasu był on tylko zecerem drukarskim, teraz zaś został naśladowcą nieboszczyka Léroux w aeronautyce, przerzucił się do zawodu tak bardzo karkołomnego, że ci wszyscy, co go przed nim uprawiali, skończyli śmiercią nienaturalną. I jeszcze jak bardzo nienaturalną! Najszczęśliwszy z nich, prawdziwy wybraniec losu, miał tylko połamane nogi; najmniej szczęśliwy pogruchotał się na strzępy, na miazgę. Środek błogosławiony przypadł biednemu Léroux, który znalazł miękko usłane łoże śmiertelne w falach morskich. Czwartym zrzędu *próbantem* w rzemiośle spadania jest właśnie nasz pan Dzikowski, który niewiadomo na czem skończy, jeżeli w porę bawić się nie przestanie.

Pan Dzikowski jest bardzo odważny, ani słowa! Chwyta jedną ręką kółko spadochronu, przyczepionego do balonu, i tak wisząc, wylatuje z nim „nad poziomy," do wysokości na przykład dziesięciu wież ratuszowych. Potem szarpnięciem linki odczepia spadochron i, jak kamień rzucony z wysokości, poczyna z nim spadać na ziemię.

Proszę sobie wyobrazić chwile tego spadania, chwile w których nie czuje się żadnej podpory, żadnej siły, w których pędzi się bezwłasnowolnie ku twardej skorupie ziemi, bez najmniejszej pewności, że spadochron otworzyć się raczy i powstrzyma ten zlot śmiertelny! Ale oto ochronny parasol otwiera się, spadek staje się wolniejszym, aeronauta z bryły bezwolnej przerabia się na ciężar zawieszony prawidłowo i jeżeli tylko ręka mu nie osłabnie i kółka nie puści, jest już prawdopodobieństwo, że bezpiecznie znajdzie się na ziemi. Sam widocznie musi być tego pewny, bo oto ręką wolną sięga do czapki, zdejmuje ją, kłania się widzom i bierze wzamian entuzyastyczny okrzyk.

Sztuka się powiodła!

Czy się powiedzie tyle razy, ile się podoba panu Dzikowskiemu wglądać w sfery sokole, to rzecz inna. Przypuszczam nawet, że naszemu śmiałkowi los dopisywać będzie zawsze, aż do końca obranego zawodu, to jeszcze i tak stawiam tu pytanie... wyścigowe: *cui bono?* Wątpię bowiem, ażeby ktoś zechciał szukać praktycznych korzyści z naśladowania przykładu, dobrego jedynie dla chwilowej spekulacyi. Spadochron przydać się może tym tylko, co się balonami wznoszą, a pomimo wszelkich możliwych korzyści, jakieby aerostatyka udoskonalona przynosić mogła, niezawodną jest rzeczą, że się

nią rzadko kto posługiwać zechce. Człowiek bowiem nie jest stworzony do latania w powietrzu...

Od Ikarowych pierwocin do dnia dzisiejszego naśladowanie ptaków jest sportem bardzo wyjątkowych amatorów. Są ludzie, których sama myśl o nim dreszczem trwogi wstrząsa. Ludzka to rzecz patrzeć zdołu dogóry, nie zaś zgóry nadół. Można mieć bardzo żywą wyobraźnię, bardzo bujną fantazyą, można być bardzo odważnym a nawet ryzykownym, a przecież uciekać przesądnie od pięciołokciowej przepaści.

Ja sam, myśląc teraz z konieczności o spadaniu pana Dzikowskiego, uczuwam zawrót głowy, który mi każe czemprędzej szukać ukojenia... w teatrzykach ogródkowych. Tu przynajmniej jestem na bezpiecznej płaszczyźnie, która jeżeli ma jakąś niedogodność, to chyba jedynie tę, że bywa czasem zanadto płaska.

Od niedzieli teatra ogródkowe poczęły swoją letnią kampanią. Nazajutrz niebo powitało je łzami radości, które zamieniły się w długi, uporczywy, rzęsisty deszcz. Pod tym względem początek nieświetny! A przecież tym przybytkom sztuki wędrownej, poczynającym walkę o chleb z celem filantropijnym, pracą dla innych, co cierpią, należał się wdzięczny uśmiech słońca!

Co nam przyniesie Muza ogródkowa w tym roku, obaczymy. Słychać że dobrej woli jest dużo, że siły artystyczne wogóle są niezłe, że zabrano się do roboty ochoczo, ale podobno zawsze to tak bywało na początku sezonu, co nie przeszkadzało, żeby przy jego końcu było źle. Czy z potrzeby przynaglającej, czy z biedy nieprzewidywanej, dosyć że miłe wróżby krystalizowały się w usiłowaniach operetkowych i zarobkowych. Bilans ich wykazywał potem niedobór w dochodach, nieraz potężną lukę w zasobach niezbędnych dla dalszej tułaczki artystycznej, a nie wiem, czy następstwom takim postarano się zapobiegać obmyśleniem planu kampanii, środkami właściwemi i pracą o jakiejś istotnie artystycznej idei.

Jedno jest tylko rzeczą pewną w tej sprawie, oto peryodyczne narzekanie na brak poparcia ze strony prasy, która ma przecież obowiązek popierać... A co, dobrzy panowie? Czy te szumowiny operetkowo-kankanowe, któremi przeciążaliście repertuar? Czy te nieskończenie długie szeregi fars francuzkich, demoralizujących niewybrednego widza i psujących wszelki smak niewytrawnych języków? Czy może ryzykowność aktorską, która scenie nadaje charakter estrady knajpowej?... Jeżeli chcecie poparcia dla teatru, bądźcież przedewszystkiem *teatrem*, który nie jest tak znowu zupełnie tem, czem wy go sobie, panowie *przedsiębiorcy*, wyobrażacie. Jeżeli niedosyć przyjazne losy każą wam przez kilka miesięcy w roku tonąć w duszącej atmosferze bawara i przekrzykiwać nieustający brzęk kufli, starajcież się wznosić głowy jaknajwyżej i przypominać swoim słuchaczom, że wołacie w imię sztuki, a nie wyłącznie kieszeni. A potem dopiero mówcie o poparciu w druku, który...

Który, niestety, bardzo często bywa nadużywany!

Oto mam przed oczami niewielką książeczkę, dość suto wyilustrowaną wizerunkami niewieściemi, a noszącą tytuł „Kobietki.” Jest-to przekład z Alfonsa Karra, autora bardzo popularnego ongi, który skończył zawód swój na pielęgnowaniu kwiatów i rozmyślaniu o minionych tryumfach buduarowych. Bywał on daleko więcej dowcipnym, niż głębokim, chociaż przyznawano mu niekiedy tytuł filozofa i myśliciela.

W tej książeczce jednakże wcale ani myślicielstwa, ani filozofii nie widać; domyślać się z niej zato można niepospolitych pretensyj do znawstwa kobiet. Znawstwo to przecież ujawnia się tylko w dużej dozie ironii, z jaką autor o kobietach przemawia. Gdyby mu należało wierzyć, trzebaby wyrobić sobie o płci nadobnej pojęcie jaknajbardziej ujemne. Bezmyślność zupełna, powodowanie się w najważniejszych sprawach życiowych wolą... kaprysów, najkompletniejszy brak logiki, a wreszcie jakaś nieograniczona pełnia instynktów nieludzkich, oto zasadnicze rysy natury kobiecej—wedle tych aforystycznych przywidzeń Karra. Wcale to dla was niepochlebne, moje panie, i wcale nie trafia do mojego przekonania.

Nie chcę przeczyć, że te wszystkie właściwości, przypisywane wam przez autora „Kobietek” nie bywają waszemi przywarami, ale nie dam się przekonać, aby mogły stanowić istotne, nieodłączne właściwości. Bezmyślność, kaprysy, brak logiki... zapewne, i ja to spotykałem często, lecz widywałem też i rzeczy im przeciwne, które twierdzeniom hurtowym Karra kłam zadają, podkopując fundamentalnie zasadę przedrwiwania, jakiej się w książeczce swej trzyma.

Tak czy owak zresztą, zastanawia mnie jedna rzecz. Tytuł „Kobietki,” bardzo w swej formie lekceważącej sharmonizowany z treścią książki, zdaje się świadczyć głośno, że wydawnictwo utrafia w ducha czasu, że te szyderstwa, w gruncie gorzkie jak piołun, są na czasie, odpowiadają potrzebom i wyobrażeniom. Nikt się o nie nie obrazi, a każdy się naśmieje — z autora, z treści, z kobiet wyszydzonych, ze wszystkiego razem! Otóż zadziwia mnie, że takie kwiatki wykwitają wtedy właśnie, kiedy na wszystkich ustach wiszą słowa: „emancypacya, równouprawnienie, człowieczeństwo” w odniesieniu do kobiet! Jak te sprzeczności ze sobą godzić, jak ufać można szczerości przebiegających prądów i przewrotom w umysłach ludzkich? Wszakże wiadomo dobrze, że najliczniejszy kontyngens czytelnictwa stanowią kobiety; i cóż one mówią na tego rodzaju książki i pisma?

Na pytanie to odpowiadać się nie silę, bo odpowiadaćbym nie umiał — ale wy, czytelniczki, zastanówcie się nad niem i pomyślcie zarazem, jak przeciw temu... szyderczemu prądowi występować, jak mu się bronić potrzeba, bo że sprawie waszego wyzwolenia bardzo przeszkadza, to nie ulega żadnej wątpliwości. Gdy połowa ludzkości naprzód ją popycha, a druga ośmieszaniem i drwinkami wtył ciągnie, rezultaty nie wypadną duże.

Myślcie tedy, a ja tymczasem na zakończenie tej gawędy przypomnę wam sprawę najszczerszej, najrozumniejszej filantropii — kolonie letnie dla biednych dzieci. Wszakże to już zbliża się dla nich odpowiednia pora, szeregi niedorosłych letników niezadługo kompletować się będą, potężna dłoń wypogodzonej, ciepłej, uśmiechniętej zielenią natury rozpocznie swoje kuracyjne działania względem tych młodziutkich, a już starganych biedą warszawskią sił! Ile ich jest, ile ich jest!... Ile odejść będzie musiało z zawiedzioną nadzieją wyjazdu, odpoczynku, ozdrowienia!

Wy, co macie dzieci, wy, którym Bóg sam włożył w serca instynkt święty macierzyństwa, pomyślcie i o tem...

Maryusz.

Z chwili bieżącej.

* **Kolonie letnie.** Dziewięć lat mija od czasu, jak dobroczynna Warszawa corocznie obfitych dostarcza środków dla wysyłania dzieci biednych a słabowitych na kilka letnich tygodni na wieś, dla pokrzepienia ich na siłach i dla wytępienia z nich zarodków przyszłych chorób, któreby je uczyniły niezdolnemi do pracy, lub życia pozbawiły. Instytucya kolonij letnich, sympatycznie przez nasze społeczeństwo przyjęta i energicznie przez nią popierana, doszła do niebywałego u nas rozwoju, gdyż cyfra 50 dzieci, które w pierwszym roku jej istnienia wysłano, urosła do 540, jak to szczegółowe za rok zeszły sprawozdanie wykazuje. W przeciągu lat 9 przeszło 2,200 dzieci korzystało z dobrodziejstwa, jakiego im społeczeństwo obfitą dłonią dostarczyło.

W sezonie bieżącym, a dziesiątym istnienia kolonij letnich mnóstwo, wiele więcej niż kiedykolwiek, dzieci zgłasza się z prośbą o wysłanie ich na wieś, nie wolno nam wątpić, iż prośby ich w znacznej części uwzględnione będą i że publiczność nasza i w roku bieżącym pośpieszy z ofiarami, które nam pozwolą dalej prowadzić tę ze wszech miar na poparcie zasługującą instytucyą.

Do panów właścicieli ziemskich zanosimy prośbę o zaofiarowanie nam na przeciąg 4-ch lub 8-u tygodni odpowiedniego dla pomieszczenia 30 osób miejsca. Warunkami pożądanemi są: bliskość stacyi drogi żelaznej, bliskość lasu lub zacienionego sadu, suchość gruntu i mieszkania, oraz woda bieżąca na kąpiele.

Dr. Gustaw Fritsche.

* **Nowe stowarzyszenie dobroczynne** na wzór francuzkich „Dames du Calvaire,” proponuje paniom naszym „Kronika rodzinna.” Jest-to stowarzyszenie wdów, mających się zajmować pielęgnowaniem chorych, których ciało pokryte jest ranami, skancerowane, i którzy nie mogą nigdzie znaleźć przytułku. „Są pomiędzy nami niezawodnie—mówi redaktorka „Kroniki” —kobiety młode, energiczne, mające wiele wolnego czasu, któreby chętnie część jego poniosły w ofierze dobroczynności i niezrażone niczem, drobnemi małemi rękoma nie „wahałyby się dotykać ran ohydnych.”

Nie mamy nic przeciw miłosierdziu, które jest jednem z najpiękniejszych, najświętszych uczuć, jakie spoczywają w piersi człowieka, a zwłaszcza w piersi kobiety, ale nie możemy w zupełności zgodzić się na to, co mówi szanowna redaktorka „Kroniki rodzinnej.” Naprzód, naszem zdaniem, kobieta młoda, energiczna, a obok tego, ma się rozumieć, inteligentna, nigdy nie może mieć zanadto „wolnego czasu;” potrafi ona go zawsze spożytkować korzystnie i nie zniesie bezczynności. Są wprawdzie kobiety, które rzeczywiście mają dużo wolnego czasu, ale te nie opatrywały w żadnym razie ran Łazarza, a zresztą i one znajdują zajęcie w sam raz dla siebie, na sesyach, w urzędowaniach, prezydenturach, sekretaryatach i t. d. filantropijnych.

Następnie zachodzi wedle nas pytanie, czy takie wyzyskiwanie uczuć kobiecych, takie moralne zmuszanie ich do pełnienia dobrych niezawodnie, ale wstrętem przejmujących uczynków, jest na swojem miejscu wobec tego zwłaszcza, że całej tej sprawie można nadać obrót daleko lepszy.

Niech „małe rączki” obracają swój „wolny czas” na inne pożyteczne zajęcia, których im nie zabraknie, gdy się szczerze obejrzą za niemi. Zato niech sięgną do portmonetki i wydobędą z nich trochę monety, choćby na niezbędnych niby wydatkach oszczędzonej, za którą płatne ale fachowe ręce chirurgiw i kobiet odpowiednio *ad hoc* wykształconych zajmą się opatrywaniem ran obrzydliwych. Będzie to o wiele praktyczniej, przyzwoiciej, przyjemniej, a co większa, będzie to daleko bardziej po chrześciańsku, bo bez filantropijnej ostentacyi, a z większą bez porównania korzyścią dla cierpiących.

G. Cz.

Do dzisiejszego n-ru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami.

FABRYKA KUFRÓW, WALIZ I TOREB T. L. BREYMEYER WARSZAWA KRÓLEWSKA Nr 1 róg KRAK.-PRZEDM. POLECA WSZELKIE PRZYBORY DO PODRÓŻY, KONNEJ JAZDY I POLOWANIA,
WOZKI, WELOCYPEDY, PANTOFLE I WYROBY KOSZYKARSKIE. 45 8—12

BRACIA LESSER, 66—1—3 **Rymarska 12.** POLECAJĄ świeży transport **PARASOLEK** ZAGRANICZNYCH bardzo gustownych w wielkim wyborze. CENY PRZYSTĘPNE.

Bracka 20. Po rs. 50!!! Piękne Serwisy Stołowe.

Na 12 osób z najlepszej porcelany Krajowej, zdobne w piękne kwiaty ręcznie malowane, na żądanie z monogramami lub z herbami, składające się z następujących przedmiotów: **36 talerzy płaskich, 12 głębokich, 12 deserowych, 12 kompotowych, 12 par filiżanek do herbaty, 12 par do kawy czarnej, 1 waza, 4 półmiski owalne, 12 okrągłe, 1 do śledzi, 4 salaterki, 2 sosierki, 1 kabaret do konfitur lub kosz do owoców, 2 musztardniczki, 2 solniczki, 1 maselniczka lub imbryk Razem 116 sztuk. Serwisy stołowe** w dobrym gatunku, w prześliczne desenie lub w kwiaty malowane. **składające się ze 114 sztuk po rs. 32;** za dopłatą rs. 10 do serwisów tych dodaje się 86 sztuk szkła kryształowego. **Serwisy do śniadania z 30** sztuk złożone, w kwiaty malowane **po rs. 15. Serwisy do kawy lub herbaty** na 12 osób **z 16 sztuk po rs. 6. Garnitury na umywalnie** kolorowane od rs. 3 kop 60. **Wazony do kwiatów doniczkowych** (Cachepôt), b. ładne po rs. 3 za parę. **Wazony do bukietów** w wielkim wyborze, para od kop. 50. **Garnitury na tualetę. Serwisy do likieru. Kosze do ciast,** oraz wszelką porcelanę malowaną, po cenach najniższych sprzedaje

Główny Skład i Malarnia Porcelany

RYSZARDA FIJAŁKOWSKIEGO,

w Warszawie, ul. Bracka Nr 20, drugi dom za Chmielną, **w lokalu prywatnym.**

Są do nabycia w księgarniach dzieła naukowe nakładem pedagoga **Plato v. Reussnera:**

Najlepsza Metoda

do nauczenia się **Bez nauczyciela** czytać, pisać i rozmawiać po niemiecku w **3-ch miesiącach**, po angielsku w **24 lekcyach.** Cena Metody niemieckiej kurs niższy kop. 60, w oprawie 75 kop., kurs wyższy rs. 1 kop. 60. Komplet, t. j. oba kursa razem, **tylko 2 rs.** Metoda angielska z wymową, kurs niższy k. 75. **Najlepszy elementarz polsko-niemiecki** z wymową, z 14 wzorkami pisma i 200 rycinami kop 35, 30, i 10. **Najnowszy elementarz polski** z wzorkami pisma, rysunków i rycinami (obrazkami) razem **340 figur**, tudzież ze wskazówkami pedagogicznemi kop. 25, 20, 15, 10 i kop 4. Powiastki **polsko niemieckie** 20 kop. Powieść **Ali-Baba i 40 zbójców** 15 kop. Powieść **Myśliwi Giemz** 10 kop.

Na przesyłkę pocztową dopłaca się do każdego rubla po kop. 20.

Skład główny u autora, (Pl. v. Reusnera przy ul. Marszałkowskiej Nr. 142, w Warszawie

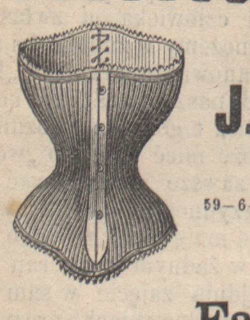
FARBIARNIA PAROWA, PRALNIA CHEMICZNA I ZAKŁAD DEZYNFEKCYJNY (Kamera)

Ch. GEBER,

(Grochów, Telefon Nr 164.) 3910—16

Farbuje i czyści wszelką **garderobę męzką i damską.** Farbuje na sposób francuzki całkowite sztuki nowych materyi przędzę jedwabną dla panów fabrykantów i kupców, oraz drukuje desenie nowym systemem na wszelkich materyałach, na sukniach pranych i farbowanych.

Magazyny w Warszawie: Niecała № 9 (telefonu № 328), Marszałkowska № 116, Nowy-Świat № 49, Leszno № 4, Dzika № 9 i Praga Brukowa № 32.



Warszawska Fabryka Gorsetów

J. LENARTOWSKIEJ,

Krakowskie-Przedmieście Nr 23

59—6—6 (róg Trębackiej.)

Poleca gorsety:

Zgrabne, Eleganckie i Tanie.

Fasony paryzkie.



KUPNO

i sprzedaż używanej Garderoby damskiej oraz innych przedmiotów jak na przykład Bielizny, Firanek, Serwet i t. p. 63—2—8

Trębacka № 3 (I piętro).

Fabryka Parasoli **A. KWIATKOWSKIEGO**, zaopatrzyła Magazyny swoje Ś-to-Krzyzka Nr 38, Nowy-Świat Nr 49, w wielki wybór parasolików damskich po cenach fabrycznych

Przyjmuje się reperacyę i pokrycia parasoli. 34 6—10

KIO-CZI

66—1—6

Niezawodny środek na pluskwy

A. Nowakowski.

BIELAŃSKA Nr 3.

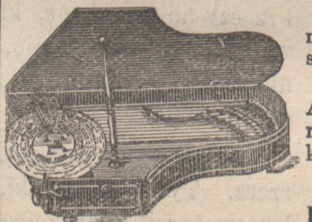
KAUCYONOWANE

Biuro Nauczycielskie

WALERYI MAX

ulica hr. Kotzebue Nr 2, w Warszawie.

Rekomenduje Nauczycielki, Nauczycielki i Bony. Na zamówienie sprowadza Bony, Guwernantki z Genewy i Paryża 1—3



Udającym się na letnie mieszkania poleca ***najtaniej*** Arystony, Herofony, Szkatułki samogrające etc.

FABRYKA INSTRUMENTÓW MUZYCZNYCH

D. Feigenbaum,

Nowy-Swiat Nr 61 (drugi dom od ulicy Ś-to Krzyzkiej) I-sze piętro. 1—3

Zawiadomienie.

Zarządzający magazynem W-go F. Schlagera na ulicy Senatorskiej № 6 (filia) fabryka rękawiczek i magazyn galanteryjny, z dniem 8 Lipca b. r. otwiera magazyn w tym samym zakresie, na ulicy Trębackiej róg Nowo-Senatorskiej obok domu W-ej Szejblerowej.

69—1—3 ***S. CZERWIŃSKI.***

NAGRODZONA MEDALEM

Fabryka Gorsetów

J. Kropiwnickiej

Nowy-Swiat Nr 37 m. 10, w Warszawie.

Poleca wielki wybór gorsetów gotowych, fasonów paryzkich, oraz higieniczne po cenach przystępnych. Wykonywa obstalunki oraz pranie i reperacye.

PRALNIA CHEMICZNA 1—6

sztuczna Cerownia i Farbiarnia

i zakład chemicznego czyszczenia wszelkiej garderoby damskiej i męzkiej,

W. Głogowski

10 NIECAŁA 10.



Filia Nowy-Świat 69.

TANIO TANIO



BIDETY, KLOZETY

25—2—3 W SKŁADZIE

Ad. Kempińskiego,

Senatorska 22 (róg Bielań.)

SPŁATA TYGODNIOWA

EAU VÉGÉTALE

do farbowania włosów, pod względem swych zalet nie mająca równej sobie.

Bez zawodu nadaje siwiejącym włosom PIERWOTNY KOLOR, skutek już po pierwszym użyciu. Nie brudzi skóry i nie plami bielizny POBUDZA POROST WŁOSÓW i niszczy łupież. Pudełka blado niebieskie z podpisem wynalazcy i takie tylko są prawdziwe. Cena pudełka na miejscu rs. 2 kop. 50. Z przesyłką w Królestwie rs. 3, w Cesarstwie rs. 3 kop. 50.

Skład główny w zakładzie fryzyerskim

T. MARKOWSKI, Bielańska Nr 2,

w Warszawie, 53—2—6

u fryzyerów w m. Wilnie u Gordona, Lublinie u Rozdoby i Grafczyńskiego, w Piotrkowie, u Różyckiego, w Łodzi u Smosarskiego.



Pince-nez, okulary, najcelniejszych fabryk (mogą być za pomocą optometru zastosowane). Lornetki damskie długie, teatralne, Termometry, Barometry, Woreczki hygieniczne, zabezpieczające i inne wyroby optyczne poleca „najtaniej" optyk **Julian Dreher, (Szpitalna Nr 6).** Na prowincyę za zaliczeniem. Przyjmuje reperacyę. 8110—12

Dnia 1 Lipca r. b. otwartą zostanie szkoła haftu białego, kolorowego, złotem i srebrem oraz kroju. Ulica Pańska Nr 18 miesz. 2 (dom Fiorentinich) **Pracownia MARIE**

Zapis uczennic od 10 rano. 65 2—12

LODOWNIA 51—4—6

E. JASZEWSKIEGO

Marszałkowska 52, róg Pięknej.

dostarcza lód do lodowni pokojowych, na warunkach lat poprzednich, t. j. począwszy od pół puda dziennie. Dostawa punktualna. Ceny przystępne. Rachunki regulują się zdołu 1-go każdego miesiąca. Lód zdatny do użytku wewnętrznego.

WANDA SIWINSKA

Krakowskie-Przedmieście 61

wprost Resursy Obywatelskiej.

3 wielkie Medale srebrne na wystawach.

FABRYKA KWIATÓW

poleca Kapelusze damskie podług modeli paryskich od najtańszych do najwykwintniejszych. 50—4—7

Дозволено Цензурою. Варшава, 23 Мая 1891 г.

Redaktor i Wydawca Emil Skiwski.

Druk Emila Skiwskiego, Warszawa, Chmielna №. 26.

Dodatek.

O UBIORACH.

Oprócz ryciny przedstawiającej ubranie ślubne, podajemy jeszcze kilka szczegółów w tym względzie. Suknie ślubne odrabiają podług różnych fasonów — podług nas najwłaściwsze jest użycie wspaniałych materyałów, ale poważnych fasonów odpowiadających uroczystości chwili. Atłas zawsze bardzo jest używany—właściwy mu połysk nadaje całej toalecie rozjaśniający efekt. W jednym z pierwszorzędnych magazynów paryzkich dla przyszłej hrabiny przygotowano ubranie ślubne z atłasu, formą prinçesse. Przód sukni u dołu wycięty w proste patki podłożone w pukle, spadające na garnirowanie z koronki wysuwającej się między patkami. Zapięcie stanika dane z lewej strony pod żabotem koronkowym, zbywająca szerokość przodów zebrana w ścisłe marszczki do środka schodzące się z fałdami podpinającemi bryt przedni. Rękawy w całej długości przykryte bufiastem marszczeniem z muślinu jedwabnego.

Inna bardzo wspaniała toaleta ślubna była z materyi faille przybrana z przodu i z boków szerokim wolantem koronkowym, zbieranym przy górnym brzegu w fałdy, podpięte bukietem kwiatu pomarańczowego. Przód stanika w całej długości przykryty koronką; pasek z kwiatów zakończony długiemi, miękiemi gałązkami pomarańczowemi, spadającemi na przód sukni. U rękawów rodzaj mankieta z kwiatu pomarańczowego. Na głowie okrągła girlandka i welon tiulowy.

Trzecia z materyi zwanej *trarine* ogarnirowana piórami strusiemi. Suknia z lewego boku była otwarta i podszyta wstążką, aby się nie rozsuwała, brzegi zakończone riuszą z piór idącą wokoło trenu. Stanik także otwarty na wązkim plastronie, oszyty wzdłuż brzegów przednich riuszą, miał rodzaj upięcia idącego z pod lewej ręki do prawego boku i przypiętego sutą rozetą. Rękawy w górze bufiaste, u ręki zapinane na guziki; kołnierzyk stojący zakończony riuszą z piór. Welon illuzjowy. Pod suknię ślubną spódnicę krótką szyją także z białej materyi zakończoną koronką lub falbanką; pończochy jedwabne lub koronkowe, trzewiczki atłasowe—rękawiczki z kozłowej skórki.

W naszym kraju podobnie jak we Francji druchny ubierają się rozmaicie, w Anglii jest zwyczaj, aby wszystkie ubrane były jednakowo.

Opis do N-ru 23.

N. 1. Suknia z okrągłym karczkiem. Patrz ryc. 23 w N. 22.

Bardzo gustownie przedstawia się cienka wełna piaskowa, przybrana listewką z białego sukna, naszytą długie, ścięte szpiczasto przytrzymujące fałdy przednie, są sukienne, po 3 c. szerokie. Stanik ma podszewkę zapiętą środkiem, a materyał zwierzchni przodów lekko przymarszczony zapina się z boku na kryte haftki; okrągły karczek 9 1/2 c. szeroki zakończony listewką: kołnierzyk stojący 5 c. szeroki, rękawy oszyte przybraniem zamiast mankieta.

N. 2 i 11. Suknia z podwójnemi rękawami.

Ubranie spacerowe złożone ze spódnicy gładkiej i krótkiego stanika ma dodane zwiarzchnie otwarte rękawy po 50 c. długie, 48 c. u dołu szerokie. Plecy i cztery boczki stanika z podszewki krają się oddzielnie jak zwykle, z materyału zaś w jednym kawałku (patrz r. 11); podszewka przodów zapina się środkiem na haftki, wierzch zaś zfałdowany i przepięty wstążką, zachodzi skośno lewą połową na prawą. Spódnica z przodu lekko namarszczona, z tyłu zebrana w fałdy zwrócone do środka składa się prostych brytów 230 c. szerokich. Rycina 2 przedstawia suknię z białego szewjotu w rzut czarny i różowy, przybraną 9 c. szeroką jedwabną białą gipiurą i wstążką vieux rose, zaś r. 11 suknię z lamy popielatej w grochy czarne, przybraną pasmanteryą i popielatą wstążką.



N. 1. Suknia z okrągłym karczkiem. Patrz ryc. 23 w N. 22. N. 2. Suknia z podwójnemi rękawami. Patrz ryc. 11. N. 3. Suknia z gorsecikowym stanikiem. N. 4. Suknia z odcinaną baskiną. Patrz ryc. 14.

z brzegów dwoma paskami czarnej aksamitki 1 c. szerokiej i czarnemi dżetami (podług r. 6 w N. 22) przedstawiającej oszycie w połowie naturalnej wielkości. Spódnica przyszyta do paska zapiętego rozetą, zachodzi na stanik, składa się ona z przedniego bryta, ściętego skośnie i zebranego w parę fałdów (patrz *a* na r. 29 w N. 22) i z prostego bryta 230 c. szerokiego zastępującego bryty boczne i tylny. Pliska dolna, pasek, patki 19 c.

N. 3. Suknia z gorsecikowym stanikiem.

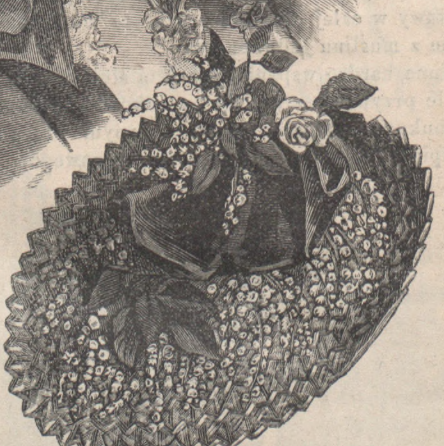
Spódnica podszewkowa i zwierzchnia są razem przyszyte do gorsecika zapinanego niewidocznie z tyłu; podszewkowa liczy 210 c. szerokości, zwierzchnia z przodu lekko zmarszczona, z tyłu faldowana, składa się z prostych tylnych brytów (220 c. szerokości) i z przedniego ściętego skośnie 155 c. szerokiego u dołu, 75 w górze.



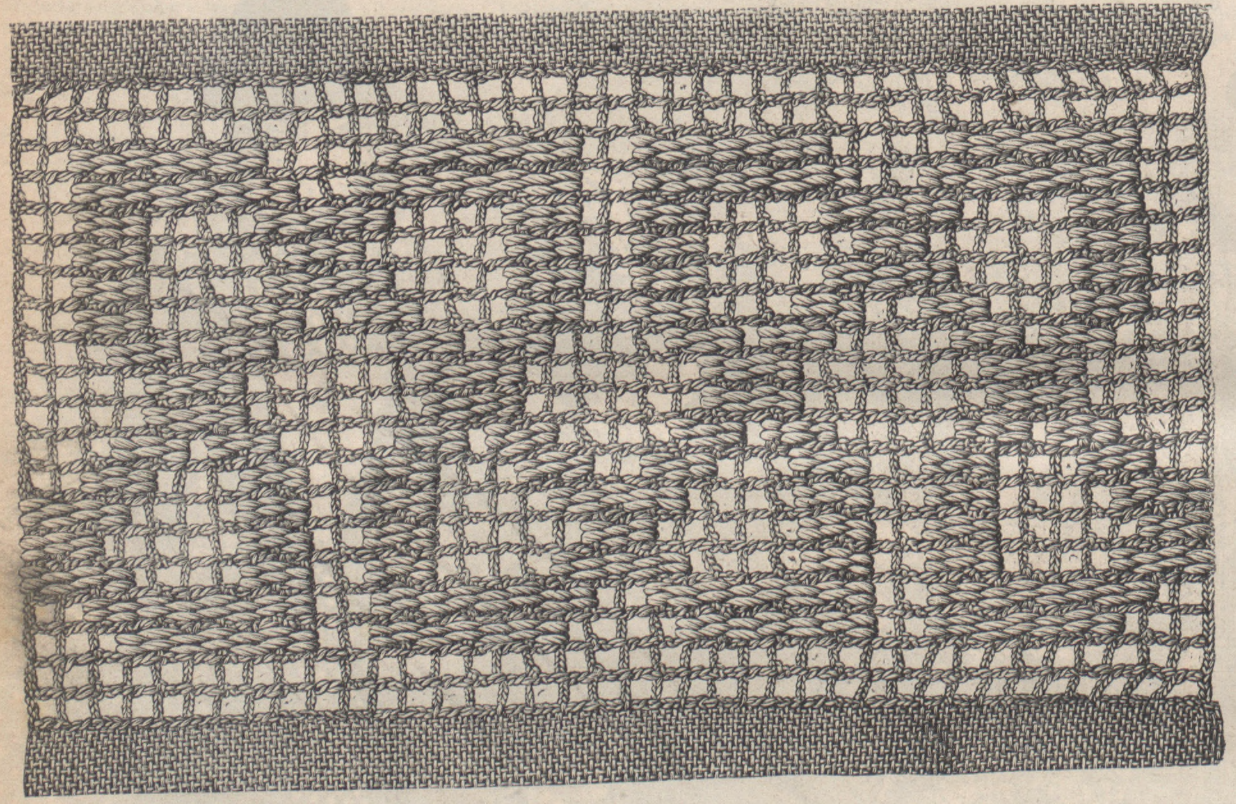
N. 11. Suknia z podwójnemi rękawami. P. r. 2.

Gorsecik dopełniony jest podszewkowym stanikiem, również z tyłu zapinanym i od góry pokrytym fałdowaną materyą ottoman; rękawy są z tego co suknia materyału. Model sukni z cienkiej wełny croisé jasnolila, przybrany był oszyciem pentel-





N. 5. Kapelusz okrągły.
N. 6. Kapotka dla starszej osoby. Patrz ryc. 9.
N. 7—8. Kapelusz okrągły z aksamitną główką.



N. 10. Wszywka szydełkowa wyszywana w deseń.

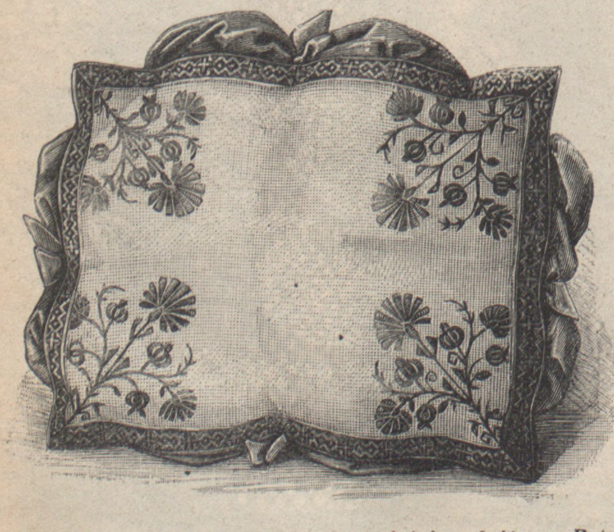


N. 9. Kapotka dla starszej osoby. Patrz ryc. 6.

kowem $1\frac{1}{2}$ c. szerokiem, ciemniejszego odcieniu, opisanem w N. 17 na rycinie 16.

N. 4 i 14 Suknia
z odcinaną baskiną.

Krótki zwykły stanik dopełniony jest baskiną, z oddzielnego prostego kawałka, u dołu 60 cent. szerokiego, w górze przez trzy zaszewki w każdej połowie (zastosowane do figury) zwężonego do 45 c. Jak to widzimy na r. 14 plecy i tylne boczki pokryte są w jednym ciągu materyałem; baskina dochodzi tylko do pleców i przednie brzegi ma proste, tylne skośne. Przody szeroko otwarte na odmiennym plastronie zapinanym niewidocznie z boku, zakończone są ranwersami. Odpowiednio do stanika i wzdłuż sukni dany bryt fartuszkowy w górze 8 u dołu 28 c. szeroki. Bryty sukni zachodzące na brzegi fartuszkowego bryta, ścięte skośno i szeroko obrąbione, opatrzone w górze dwoma zaszewkami poza któremi dane parę fałdów, liczą po 180 c. szerokości dolnej a tylko 75 górnej. Prosty tylny bryt 100 c. szeroki, zebrany w fałdy, przypięty za pomocą pentelek sznureczkowych na guziki przyszyte do pleców, podług ryc. 14. Model sukni był z piaskowego szewjotu w jasno brązowe paski, zaś plastron, kołnierzyk, mankiety i przód sukni dane z sukna koloru crême, naszytego w kratkę wązką brązową aksamitką. Ranwersy, kołnierz wywinięty i mankiety z aksamitu; kwadratowe metalowe guziki dopełniają przybranie. Materyał w pasy brany jest poprzecznie i skośnie jak to ryc. 4 i 14 wskazują.

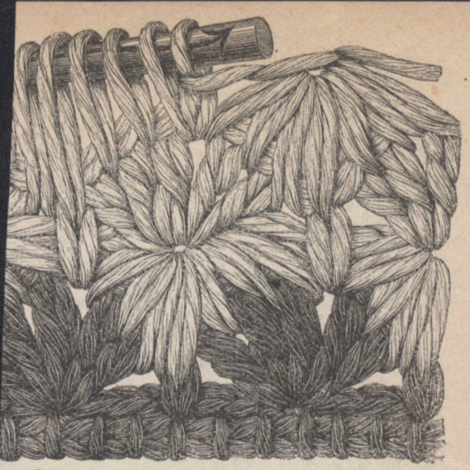


N. 12. Poduszka do mebli ogrodowych lub podróżna. Patrz ryc. 13.



N. 13. Narożnik do ryc. 12. Haft płaski.

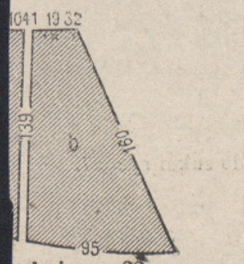
[redacted]



owy" do ryc. 17.



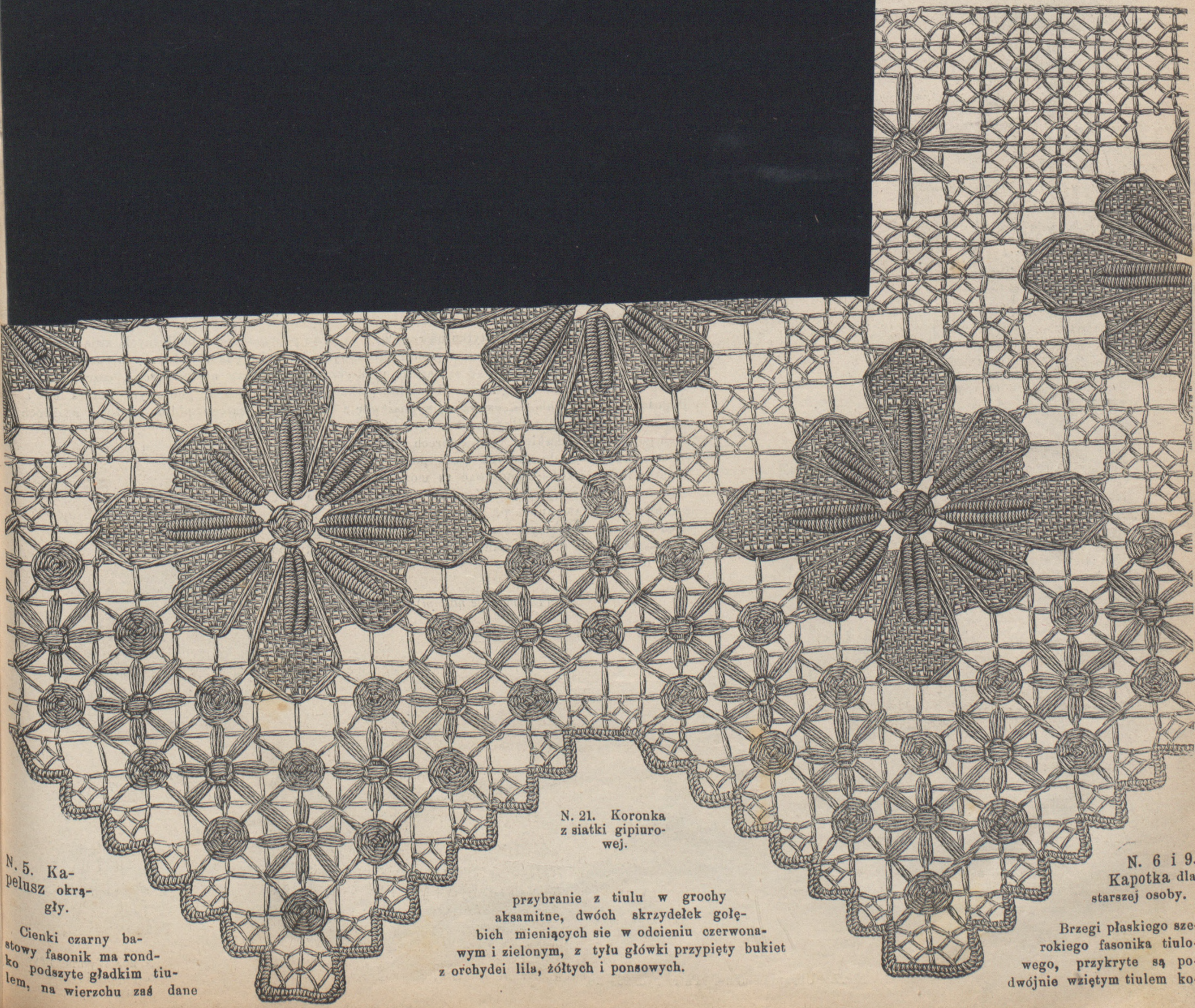
kiego pasa do ryc. 17.
ki ze skośnych słupków.



sukni ryc. 22.



N. 14. Plecy do ryc. 4.



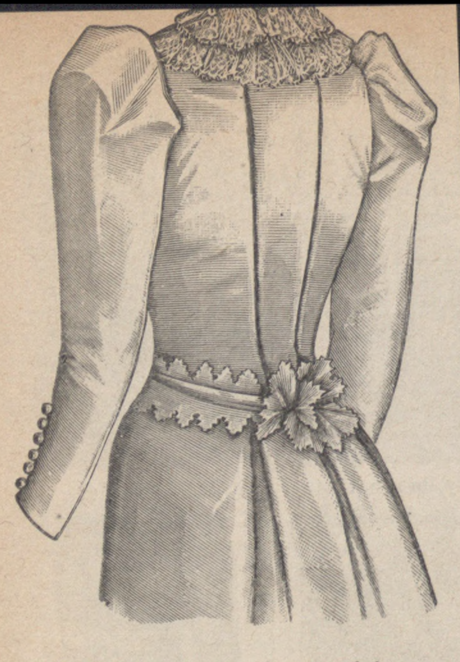
N. 21. Koronka z siatki gipiurowej.

N. 5. Kapelusz okrągły.

Cienki czarny bastowy fasonik ma rondko podszyte gładkim tiulem, na wierzchu zaś dane przybranie z tiulu w grochy aksamitne, dwóch skrzydełek gołębich mieniących sie w odcieniu czerwonawym i zielonym, z tyłu główki przypięty bukiet z orchydei lila, żółtych i ponsowych.

N. 6 i 9. Kapotka dla starszej osoby.

Brzegi płaskiego szerokiego fasonika tiulowego, przykryte są podwójnie wziętym tiulem ko-



N. 23. Stanik do ubrania ślubnego ryc. 27.



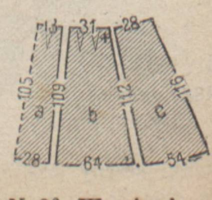
N. 24. Riusza do sukni ryc. 27.

dwie połowy zszyte są ze sobą tylko na rogach, a ze stron poprzecznych i podłużnych związane kokardami. Poduszki podróżne lub do mebli ogrodowych łatwo i prędko brudzą się w użyciu, wsunięte w poszewkę dającą się prać są bardzo praktyczne gdyż łączą użyteczność z oszczędnością. Miękko wysłana poduszka z grubego płótna lub perkalu, pokryta zapałem ponsowym licząca 66 c. długości a 58 c. wysokości, wsuwa się w poszewkę z białego lub szarego płótna złożoną z dwóch części równych po 50 c. długich, 41 c. wysokich, zakończonych ponsowym szlaczkiem. Na czterech rogach wyhaftowane są cztery bukiety, do których wzór podajemy na ryc. 13 w naturalnej wielkości; zastosować tu można haft płaski, gobelinowy lub krzyżykowy. Zamiast płótna tło może być z kanwy Aida, Jawa lub t. p. Obie połowy łączą się na rogach szwem niewidocznym danym z dłuższych brzegów na 8 c., z krótszych na 6; do wiązania służą wstążki lub taśmy po 25 c. długie, 3 c. szerokie.

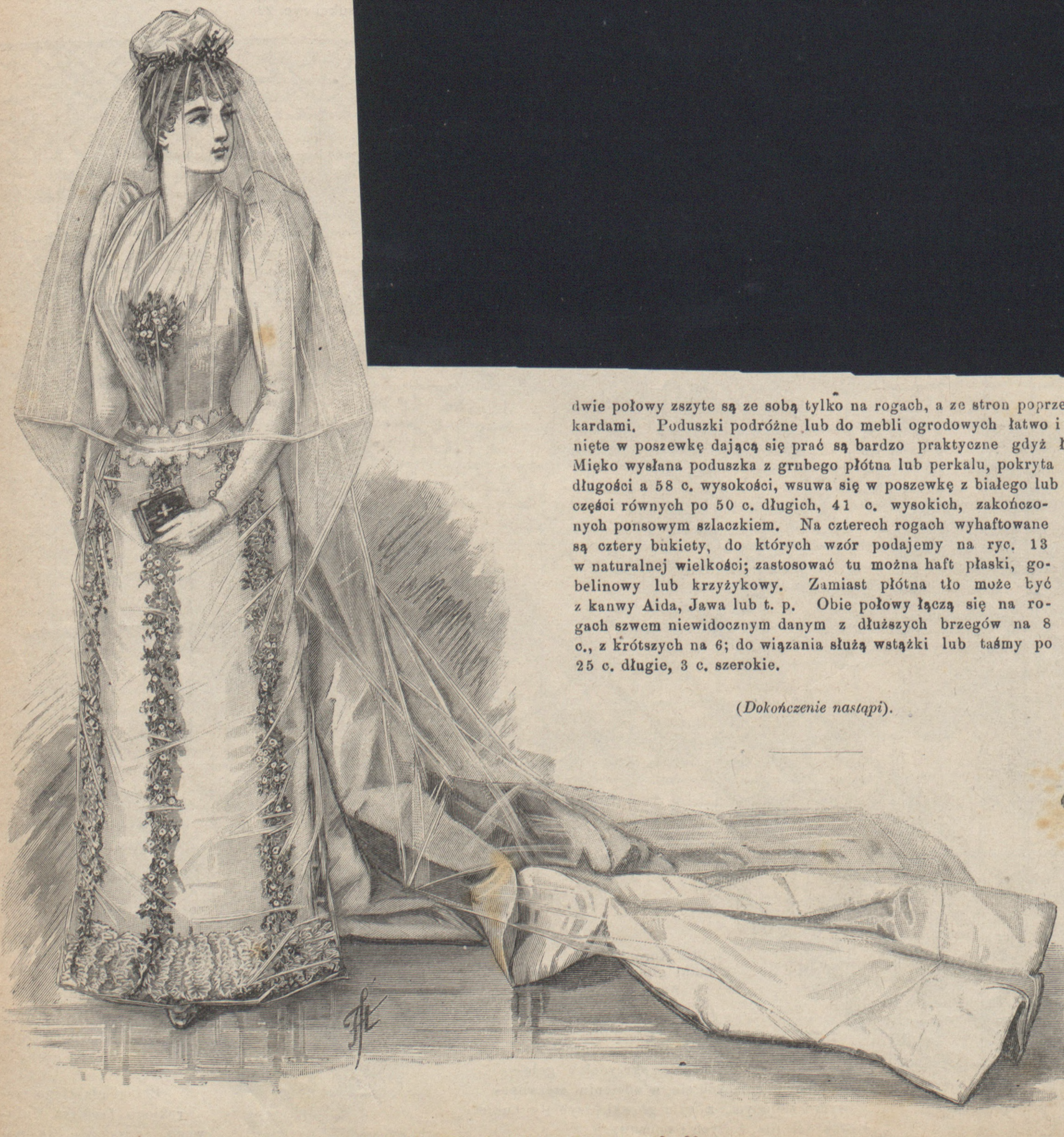
(Dokończenie nastąpi).



N. 25. Spodnia strona trenu do ryc. 27.



N. 26. Wymiar brytów spódnicy i trenu do ryc. 27.



N. 27. Ubranie ślubne. Patrz ryc. 23—26.